

Zofja Plewińska. *Salon 1913 T. Z. S. P.* *Pasterka niedźwiedzi.*

WIEŚ i DWÓR

STYCZEŃ 1914 — ZESZYT II.

ROK III. WARSZAWA, DNIA 15 STYCZNIA 1914 ROKU. ZESZYT II.

Wieś i Dwór

DWUTYGODNIK ILUSTROWANY.



Kazimierz Wasilkowski. Tow. Z. S. P. Salon 1913. (Z orygin. fotogr. A. Masłowski). Esterka.

Wychowanie i nauka naszych panien.

Sprawa wychowania i wykształcenia naszej młodzieży w ostatnich latach znacznie posunęła się naprzód. Szkoła prywatna, wytknąwszy sobie zasadniczy kierunek, wznawiając ideały Konarskiego i Komisji Edukacyjnej, a jednocześnie przystosowując się do warunków współczesnych, stara się nieustannie o dobro młodzieży, tak ze stanowiska naukowego jak i moralnego. Dać społeczeństwu polskiemu prawdziwego obywatela kraju, świadomego swoich zadań, pracowitego, mającego przedewszystkiem na myśli ogólny pożytek, dorobek ogólny — oto przewodnia idea spółczesnej pedagogji.

Na tem stanowisku stoją zakłady męskie i żeńskie, jednakże jest między nimi wyraźna różnica. Nie pochodzi ona bynajmniej z jakichś odchyleń od idei przewodniej, na której szkolnictwo nasze raz się oparło — przyczyn różnicy między szkołą męską a żeńską należy szukać w samym rodzaju, który stanowi element szkolny, a dalej w zakresie nauki. Nie jest ten zakres niższy co do swej wartości: wykłady i lekcje prowadzą w szkołach jednych i drugich te same siły, ale jest mniejszy, rozłożony na czas krótszy — lat siedmiu nie ośmiu. Jeżeli chodzi o poziom uczących się, szkoła męska przewyższa żeńską. Rozwinięcie umysłowe chłopców jest większe niż dziewcząt, nie tylko z powodu szerszego traktowania wykładanego materjału, ale i z powodu gruntowniejszej nauki chłopców. Inny mamy także sposób ujmowania przedmiotów. U młodzieży męskiej przeważa ścisłość, analityczność, energja, radność, szybsza orjentacja, aczkolwiek i pomiędzy uczennicami są pod tym względem wyjątki, które w niczem nie ustępują uczniom.



Podolanka.

Zainteresowanie się przedmiotami prawie jest jednakowe, nie równe jednak. Pochodzi to stąd, że młodzież męska wyjątkowo rezygnuje z uniwersytetu, gdy tymczasem maturzystki poprzestają najczęściej na szkole średniej, ewentualnie na kursach wyższych, tak dzisiaj licznych i różnorodnych. Nauki przyrodnicze, historyczno-literackie zajmują więcej dziewczęta, niż matematyczne. Nie mniejszy interes budzą w uczennicach kwestje społeczno-obyczajowe, szczególnie tyczące się doby spółczesnej. Lecz jeżeli chłopców zajmuje każda sprawa ogólna, młodzież żeńska najwięcej poświęca uwagi życiu obyczajowemu, rodzinnemu, a przedewszystkiem zagadnieniom co do stanowiska kobiety w społeczeństwie.

Na ogół biorąc naukę naszych panien, można śmiało orzec, że ma ona swoją wartość, korzyści rzeczywiste przynosi, rozwija, pogłębia światopogląd. Co prawda na każdej pensji spotykają się, zwłaszcza w klasach starszych, takie uczennice, dla których nauka jest rzeczą obojętną wobec czysto życiowych spraw osobistych; co prawda są uczennice, które przebywają w szkole ze względu na swój wiek przejściowy i więcej lgną do zabawy i wszelkiego rodzaju przyjemności, niż do książki. Ale wszak niema reguły bez wyjątków, szkoda tylko, że te wyjątki dość często się trafiają.

Jeżeli przyswajanie sobie wiedzy na ogół wśród młodzieży żeńskiej może w naszych zakładach zadawalać, inna rzecz jest z wychowaniem. Czy przyczyn ujemnych objawów wychowania i obyczajności będziemy szukali w demoralizacji powszechnej, w ogólnem obniżeniu się wartości moralnych, czy tylko będziemy się dopatrywali tego zła w rodzinie dzisiejszej, czy w nieumiejętnem kierowaniu młodzieżą przez rodziców i opiekunów, a w bardzo wielu wypadkach zupełnym jego braku — dość, że etyka, że moralność taka pozbawiona częstokroć głębszego zastanowienia, gruntownej świadomości granicy między dobrem a złem, oparta nieraz na mętnych pojęciach, złych przykładach, nie tylko, że pozostawia dziś wiele do życzenia, ale może nawet budzić poważne wątpliwości na przyszłość.

Obawy poważne na przyszłość budzi nie młodzież klas niższych, są to dzieci, ale dorastająca, lub dorosła, od której mamy już prawo zupełne

wymagać świadomości każdego popełnianego czynu, kierowania się rozumem, ścisłego pojmowania obowiązków moralnych, poszanowania zasad przyjętych. Niestety — nie zawsze i nie wszędzie można zarzuty przemilczeć, bo fakty na to nie pozwalają, fakty dość częste i różnorodne. Wśród wyższych klas, wśród młodzieży żeńskiej dorastającej, daje się zauważyć to wszystko, co w społeczeństwie naszem i w każdem zresztą uznane jest oddawna za złe. Uderza nas przedewszystkiem brak ideałów, za którym idzie wszystko inne: brak wiary, brak gruntownych zasad obyczajowych, rządzenie się egoizmem, chwiejność w takich pojęciach, które młodzież powinna była dostatecznie już w sobie wyrobić. Nadmierny erotyzm, ogromne zmaterjalizowanie, łączące się z lekkomyślnością, przesadny utylitaryzm życiowy zdają się przeważać nad wznioślejszymi, szlachetniejszymi porywami, wyziębiając serca. Kult życia dla użycia, podporządkowywanie temu wszelkiej pracy, stawianie swego ja na planie pierwszym, rozmijanie się z prawdą — są to znane powszechnie ułomności, bo spotykane dość często w życiu szkolnem i domowem młodzieży. Rzecz prosta, nie mogą powyższe zarzuty dotyczeć wszystkiej młodzieży szkolnej — bo musielibyśmy wątpić w społeczeństwo nasze. Nie dotyczą też wszystkich panien, wśród których są takie, które pod każdym względem rokują dobre nadzieje, budząc już dziś, na ławie szkolnej, w swych kierowniczkach i kierownikach prawdziwe uczucie ufności, że będą kobietami, rozumiejącemi swoje powołanie w rodzinie i społeczeństwie. Których więcej, tych czy tamtych — odpowiedzieć trudno. Ale właśnie dla tego, że trudno, że są wątpliwości i wahania, pochodzące z szeregu danych, z dowodów rzeczywistych życia szkolnego — można się lękać o przyszłość, można o obawach jawnie, otwarcie mówić.



Kurpianki na odpuście. (Fot. am. p. W. Skarzyńskiej).

Nasze życie spółczesne, tak skomplikowane, tak rozstrojone, przedstawiające wielki chaos w pojęciach, rozluźnione społecznie, wymagające szybkiego dojrzewania energji i hartu woli, rozumu i serca, poświęcenia i zaparcia się siebie, musi żądać od wszystkiej młodzieży, od wszystkiej bezwzględnie obok wiedzy takich podstaw, takich na nie zadatków moralnych, które czynią w każdym calu człowiekiem, a nie człowieczkiem. Nie tylko musi o tem wiedzieć i pamiętać młodzież, ale i ci, którzy są jej najbliżsi — dom. Szkoła robi co może i jak może, szkoła stara się, chce i pragnie dać jaknajlepszy materjał społeczeństwu — to jest jej celem, jej zadaniem. Czy opieka domowa zawsze idzie tą drogą, czy w kierowaniu córkami i wychowankami zawsze solidaryzuje się z założeniem szkoły, czy zawsze każda matka, każda opiekunka umie wychowywać dzielnie swoje dziecko i czy w wychowywaniu ma nieustannie na względzie idee, którym pedagogja służy — niechaj na to odpowiedzą zarzuty, które postawiliśmy dzisiejszemu wychowaniu, niechaj na to odpowie rzucający się w oczy rozłam między rodzicami i dziećmi, niechaj odpowie tak częsty brak szacunku dla rodziców, opiekunów i kierowniczek młodzieżą. To pewna jednak, że gdyby wszystkie matki spełniały swoje zadania, jak to spełniają niektóre, gdyby mniej pobłażały, mniej zewnętrznemi były w wychowaniu, gdyby więcej czuwały nad dzieckiem — mielibyśmy inne rezultaty, większą pewność przyszłości, którą na czemże opierać, jeśli nie na młodzieży.

J. Maciejowski.

Twórczość chłopska.

Przelewanie w utwory wierszowane nadmiaru uczuć młodzieńczych nie należy do zjawisk odosobnionych. Wiedzą coś o tem redakcje czasopism, których członkowie zmuszeni są odczytywać licznie im nadsyłane rękopisy, gdzie zwykle aspiracje poetyckie autorów zdają się walczyć bezskutecznie z nieudolnością ich wypowiedzenia. Zapał do pisania objawia się w młodzieży ze sfer inteligenckich w czasie ich studjów w szkole wyższej lub nawet średniej. Obcuje ona wtedy myślowo z wieszczami naszej epoki romantycznej i usiłuje mniej lub więcej szczęśliwie naśladować swoje pierwowzory. Czasem z tych prób młodzieńczych wystrzela kwiat prawdziwego natchnienia, czasem objawia się taki duch mocny a czysty, który zaważy w przyszłości na losach społeczeństwa—częściej jednak są one objawem raczej fizjologicznym niż psychologicznym.

Budząca się wiosna i dojrzewająca młodość oto źródła poetyckich uniesień.



Typ chłopa z grodzieńskiego. (Fot. am. Włodz. hr. Grabowskiego).

Może więc i fakt, o którym mówić mamy, nie zasługiwałby na baczniejszą uwagę, gdyby nie swoiste jego cechy i wprost bezcenna wartość dla dalszego rozwoju polskiej kultury. Fizycznie pracujące nasze warstwy ludowe pozbawione były dotąd wszelkich dobrodziejstw kultury, brak i nizki poziom szkół elementarnych, utrudniony dostęp do szkoły średniej i ztąd zamknięta możność wyższego wykształcenia sprawiły, że wrodzone zdolności musiały kurczyć się i zanikać, lub też drzemać tylko, czekając chwili przebudzenia. Zdaje się, że ta chwila nadeszła, a nie stało się to drogą jakichś nadzwyczajnych zmian w naszych stosunkach dotychczasowych: powstało kilka pism ludowych, zorganizowano jednocześnie kursy rolnicze dla młodzieży obojej płci, małe okienka na świat wiedzy, zachęta do samouctwa — i nagle pod wpływem tak minimalnych pozornie impulsów budzą się dusze, powstają nowe siły twórcze, zaczynają szukać ujścia i wyrazu aspiracje umysłowe i społeczne, powstaje wreszcie fakt, nie mający sobie równego w całej środkowej Europie: tworzy się literatura chłopska. Porozumiejmy się: nie mamy tu na myśli znanych utworów poetyckich i powieściowych, odtwarzających życie ludu, ani książek popularnych, pisanych wyłącznie na jego użytek, ani wreszcie dzieł utalentowanych autorów, którzy wyszli z chłopskiej chaty jak: Orkan, Zechenter i inni; wykształceniem i kulturą odbiegli oni faktycznie od swego środowiska, czerpiąc zeń tylko tematy do swoich prac—mówimy o rolniczej młodzieży wiejskiej, która bynajmniej nie poniechawszy pługa, spracowaną



Wiejski kominiarz.
(Fot. am. p. St. Durzyckiego).

dłonią chwyta za pióro, aby polską wieś pobudzić do działania i myślenia.

A czyni to odrazu w tak pięknej formie, utwory poetyckie tych samouków wykazują taki zasób podniosłych i szlachetnych myśli, tyle w nich ofiarnego, społecznego podkładu, że śmiało można je zaliczyć do wybitnych objawów żywotności ducha polskiego i pomnożyć niemi skarb uczuć i myśli narodowej.

Jest w nich oryginalność, szczerość, bezpośrednie odczucie życia.

Gdy kilka lat temu ukazała się we Francji autobiografja skromnej pracownicy, szwaczki[1]), wzruszająca prostotą i zajmującem odtworzeniem środowiska, jego trosk i uśmiechów, książka ta została rozchwytana przez inteligentną publiczność i doczekała się wielu wydań i przekładów na języki obce. Poezje naszej młodzieży włościańskiej, tak pod względem ideowym jak artystycznym stoją nieskończenie wyżej [2]). Przewyższają również swoim poziomem niedawno zebrane, a rozgłośne w prasie francuskiej prowansalskie pieśni ludowe.

Możnaby już parę tomów ułożyć z rozsypanych jak perły po szpaltach naszych pism ludowych poezji. Nie znajdziemy w nich ani źdźbła erotyzmu, tak wcześnie wybujałego w młodzieży sfer zamożnych, wychowanej miękko, chronionej do zetknięcia się z fizycznym trudem, ani dążności do samolubnego używania, ani śladu wypływającego z poczucia własnej słabości pesymizmu. Brzmi tam natomiast radosna nuta gotowej do czynu, twórczej energji, tkwi rozpęd do *organizowania* życia, na innych, lepszych niż dotychczasowe podstawach.

Odczuwa też i chłopska młodzież uroki wiosny; obdarzony wybitnym talentem lirycznym Pieslak szuka wyrazu dla swoich myśli w formie, zbliżonej do dumek Bohdana Zaleskiego i mówi:

„Ach, młodemu w życia kwiecie
Wszystko wkoło się uśmiecha,
Cudnym dźwiękiem dzwoni życie,
Niesie mu radosne echa...“



Gustaw Pillati. Tow. Z. S. P. Salon 1913. (Z oryg. fotogr. A. Masłowski). Rodzina góralska.

Nie dla niej jednak cicha kontemplacja—jej pieśń narodziła się do innych celów, ona musi „iść pomiędzy śpiące i budzić i świecić“:

„Niech się łamie, wali, kruszy
Bierność myśli, senność duszy.
Niechaj budzą pieśni drgania
Myśli polot, duszy łkania
I tęsknotę serc.“

Tak woła Sawczuk, umiejący w swojej lutni odnaleść silne, rycerskie niemal tony:

„Ty drżysz duszo — ach, nie z trwogi —
Ciebie cierpień ogrom srogi



Z typów krakowskich. Przy różańcu...

[1]) Małgorzata Audoux: *Marie-Claire* (przyp. Red.).

[2]) Redakcja, pozostawiając sz. autorce zupełną swobodę wypowiadania swych poglądów, zaznacza, iż jest odmiennego zdania co do poziomu literackiego tych utworów. Powieść Małgorzaty Audoux posiada wysoką wartość *artystyczną*, czego nie można powiedzieć bez poważnych zastrzeżeń o cytowanych tu poezjach młodzieży miejskiej.



Typ włościanina z Podola. (Fot. am. p. St. Durzyckiego).

Nie przeraża, nie...
Lecisz działać, wichrem gnana,
Tam gdzie wieczna ludu rana,
Zranionego w śnie..."

Wiedzą młodzi, jakie czekają ich trudności: wychowali się przecież w twardych, bezlitosnych warunkach istnienia, znają ciemnotę, bierność i przesądy swego środowiska, czują jednak, że muszą raz stanąć do walki z tą zaporą postępu:

„Czas już do czynu rozwinąć skrzydła:
Przed nami praca, nad nami Bóg!..."

Nie obwiniają nikogo za swoją dotychczasową martwotę, wina leży w nich samych, w niezaradności, apatji, w niezrozumieniu wartości samodzielnego czynu:

„Kto nam winien, my czy gleba,
Że nam żywności nie daje,
Że aż hen, w dalekie kraje
Musim iść, by szukać chleba.
To my winni. Czemuż tak?
Bo nam jeszcze czynu brak,
Czynu, coby myśl uwieńczył".

Niedaleką już jednak jest ta chwila:

„Choć żyjem w cichej wsi,
Coś w górze błyska, grzmi.
Myśl nasza leci w dal,
Przebija pierś jak stal,
Z mocą idziemy już
W blasku rumianych zórz..."

Pragną hymnu, któryby ich zjednoczył we wspólnem działaniu, na którego odzew pospieszyliby wszyscy: i ci, którzy śmiało już dążą do celu i ci, oporni jeszcze i wahający się.

Tworzy ten hymn młody poeta Szredziński, umysł może najwięcej refleksyjny wśród chłopskich działaczy; w poezji jego, tak w treści jak w formie, odbija się najsilniej wpływ Mickiewicza:

„Hej wszyscy wraz, a ramię przy ramieniu
Sięgnijmy tam, gdzie nasz nie sięga wzrok.
Niech widzi świat, że duch nasz nie w uśpieniu,
Że rwie się wzwyż, że chce rozproszyć mrok".

A gorąca dusza Sawczuka uzupełnia te myśli głęboką wiarą w spełnienie zamierzeń:

„Wierzę w ten ogień nieśmiertelny ducha,
Co gdzieś słonecznych krain skrzydłem sięga.
Wierzę, że wstanie duch ludu, potęga
I wierzę w siłę dusz bratnich łańcucha,
Co w jeden mocny węzeł ludzi sprzęga,
I w wulkan, co się w piersiach mas zalęga,
Wierzę jak ślepy..."

Pieśni ich nie są gołosłowne, stoi za niemi już rozpoczęta praca, nie szukają też w nich sławy i chluby — one są tylko pobudką do czynu, one muszą wzmacniać i krzepić wątpiących o swoich siłach, a takich niestety są miljony na zaniedbanych rozłogach wsi polskiej.

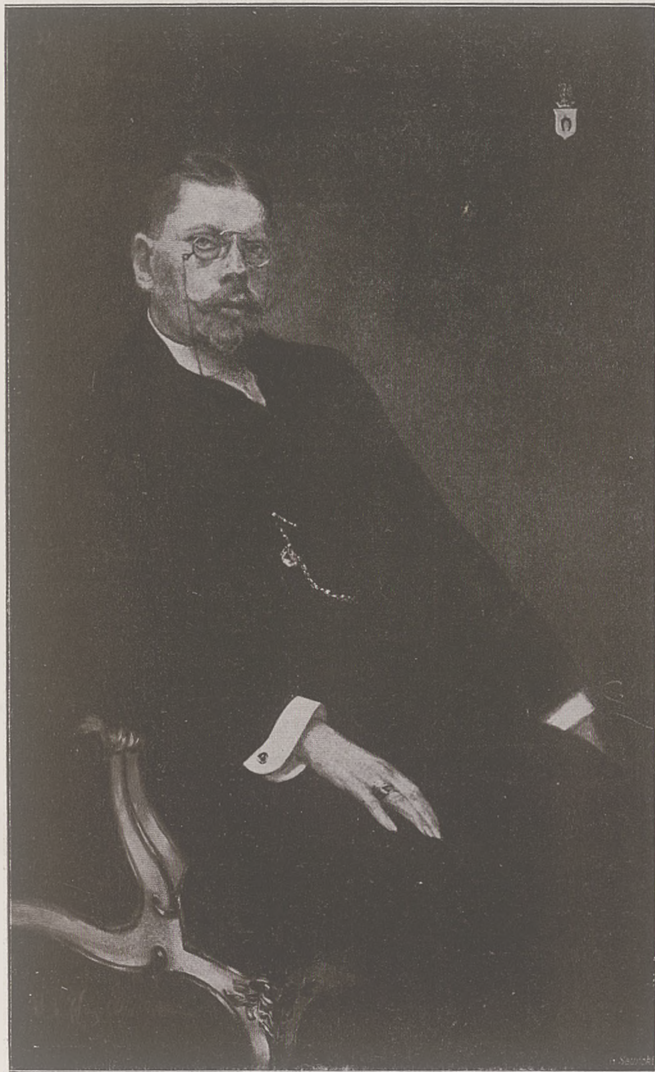
Powtórzymy więc na zakończenie jeszcze te słowa Sawczuka:

„Ja was rozgarnę, zagony czarne, kochane,
I nowe soki, z twardej opoki dostanę!!"

J. W. Kosmowska.



Stary góral. (Fot. am. p. Szamowskiej).



M. N. Wasilkowska. Portret p. Aleksandra Horwatta.



M. N. Wasilkowska. Portret p. Jadwigi z hr. Krasickich Horwattowej.

Czasy Stanisławowskie.

(Dokończenie).

II.

Ten budzący się w świtach słońca nowy okres jest dowodem, że nie przeżycie i skostnienie prowadziło Polskę do upadku, lecz niedorozwój, niewyzyskanie tego co tkwiło w głębiach, pod skorupą zastygłej lawy; ten ogień wewnętrzny, którego stulecia nie oziębią, trysnął teraz jasnym płomieniem, oświecając zgon państwa i narodziny samowiedzy narodowej.

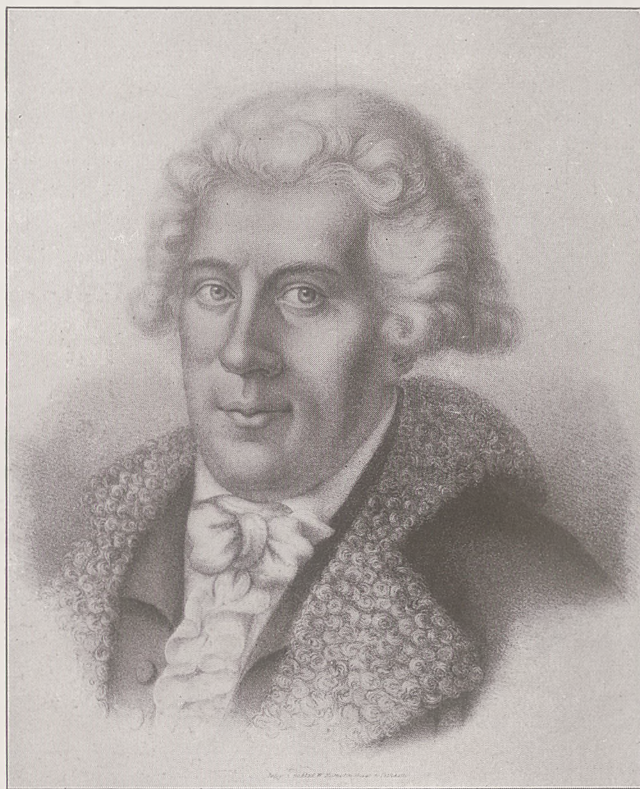
Na czele ruchu umysłowego staje król Stanisław August. On zapalił w Polsce tę iskrę światła, z której rozżarzył się płomień. Był mecenasem sztuki, nauki, zwolennikiem reformy politycznej, społecznej i ekonomicznej.

W innych czasach, być może, byłby Stan. August jednym z najlepszych panujących, w tych, gdy Polska otoczona była pierścieniem bagnetów trzech państw rozbiorczych, inna rola była prawdziwego króla; tę wskazał ks. Józef Poniatowski — ale do niej nie był zdolny Stanisław August.

Dlatego też gdy mówi się o Stanisławie Auguście wyłącznie, jako o pionierze zachodniej kultury, nie można znaleźć dość słów uznania, gdy jednak staje przed nami postać Stanisława Augusta króla, kierującego nawą państwową, chwiejnego i niezdecydowanego, gdy uprzytomniamy sobie szereg błędów i krzywd, jakie ten człowiek Polsce wyrządził — nie starcza nam słów oburzenia i potępienia. W tym okresie, po pierwszym rozbiorze za jego to istotnie przewodem do Polski „lustr nauk powrócił“. Dźwiga się z upadku literatura pod wpływem pseudoklasycznej wersalskiej literatury francuskiej, odżywa myśl polityczna, czerpiąc zasadnicze idee reformy z dzieł pisarzy wieku oświecenia; sarmatyzm ośmieszają

satyrycy—kaganiec oświaty niesie przed narodem Komisja Edukacyjna, dźwiga się z upadku przemysł i rzemiosła. Mieszczanin domaga się dla siebie praw, bo poczuł się również synem Polski, i wzór znajduje w mieszczaństwie francuskiem doby przedrewolucyjnej. Coraz to częstsze odzywają się głosy, by zerwać z nierządem, by zreformować ustrój państwowy. A wśród tych głosów dwa powszechną zwracają uwagę — to Staszica i Kołłątaja.

Staszic, gorący republikanin w swoich „Uwagach" żąda reform społecznych, uwłaszczenia chłopów, zrównania mieszczan ze szlachtą, wbrew swoim przekonaniom republikańskim domaga się dziedzicznego tronu, wzmocnienia władzy królewskiej, gdyż zdawał sobie sprawę z tego, że Polska, otoczona samowładnemi mocarstwami, musi być również monarchią z silną władzą królewską. W dziełach Staszica wybitnie występują idee, przyniesione do Polski z Francji, wpływ Rousseau, Monteskiusza, Lockego i innych. Lecz idee te, zaszczepione na naszym gruncie, inny owoc wydały. We Francji doprowadziły do rewolucji, w Polsce do ustawy Majowej. Zasługa w tem wielka pisarzy politycznych tych czasów, którzy, zrywając z ciasnem doktrynerstwem, starali się dostosować swoje pomysły reform do psychiki szlacheckiej i ustroju Rzeczypospolitej. Jeszcze bardziej praktyczny od Staszica w tym względzie był Hugo Kołłątaj w swoich „Listach Anonima", w których podał gotowy projekt nowych ustaw rządowych; projekt ten zrealizował się w ustawie Majowej. Kołłątaj jest też jednym z najistotniejszych twórców owej ustawy Majowej—Konstytucji 3-go Maja.



Ignacy Potocki. (Litogr. ze zbiorów H. Wildera).

Wzmacniają się w tych latach siły moralne, materjalne i umysłowe, dźwiga się z niemocy naród, a na ruinach tryska nowe życie.

Sprzyja temu przeobrażeniu się i odrodzeniu stan polityczny. Pomiędzy potęgami ościennemi powstaje naprężenie i antagonizm. Ta chwila, tak zawsze upragniona, wzywa do czynu. Przedstawiciel tej nowej Polski, Staszic woła z głębi duszy: „Wielki narodzie! dopókąd że w tej nieczułości trwać będziesz! Czyliż tak zginąć myślisz, aby się nic więcej po Tobie nie zostało tylko niesława. Niemasz przykładu, żeby osiadłych na najobfitszej ziemi, udarowanych przez naturę szczególnemi przymiotami, kilkanaście miljonów ludzi bez sposobu ratunku, bez myślenia o sobie, z oziębłością niewoli czekało. Sobieskich, Chodkiewiczów, Zamojskich synowie, czyli może być podobieństwo, abyście wy niesławnie ginęli"?! Ten głos sławnej przeszłości odzywa się coraz potężniej. Pierwszy rozbiór stawał się już na teraz faktem, budzącym świadomość upadku i grozy. Stawała Polska u wstępu Sejmu Czteroletniego na przełomie dziejów. Zdawało się obecnie, wśród wojny wschodniej, że możemy, jak powiedział marszałek przy otwarciu Sejmu, „bez przeszkody wzmocnić siły Rzeczypospolitej i przymknąć na tym Sejmie otwarte każdemu do wniścia bramy naszego kraju". Chwila dziejowa wzywała do tego; już przestała ciężyć kamieniem na naszych piersiach przyjaźń prusko-rosyjska—już te kajdany zostały zdjęte z naszych rąk. Prusy zwróciły się do Polski z propozycją zawarcia przymierza. Przymierze to było raczej negacją rosyjskich i austryjackich wpływów, niż afirmacją istotnych polsko-pruskich interesów—i za takie należy je uważać. Zapatrywanie prof. S. Askenazego na przymierze polsko-pruskie obalił w świeżo ogłoszonem dziele p. t. „Polska na przełomie" prof. Bronisław Dembiński [1]). Wykazał on, że na dokumentach warujących przymierze można usnąć i nieprędzej się obudzić, aż obcy łańcuch zabrzęczy. Tak było w owej chwili. W pojmowaniu świętości przymierza przebija się uczuciowość i rycerski pierwiastek. W tę strunę rycerską uderzał król pruski, nadużywając jej dla swych celów, dla swej polityki. Cytuje prof. Dembiński w swej książce zdanie Wielkiego Elek-

[1]) Bronisław Dembiński „Polska na przełomie" (Biblioteka historyczna Altenberga). Lwów. Warszawa. Poznań. Nakładem H. Altenberga, E. Wende go i Ski i W. Templowicza.

tora: „Przymierza są wprawdzie dobre, ale własne siły jeszcze lepsze, na nich można pewniej polegać". To zdanie jest punktem wyjścia dla zapatrywania się na istotną wartość przymierza polsko-pruskiego. Wyrzekania na zdradę Prus są dziś po latach stu z górą o tyle nieracjonalne, że sobie piszemy złe świadectwo, bo powinniśmy byli być na ową zdradę ewentualną przygotowani, polegając na własnej sile, na własnym orężu. Tymczasem wzniosłym programom nie sprostał — w decydującej chwili czyn, siła realna, na którą składa się ciągła praca całych pokoleń. A ta siła, jako warunek przymierza, była konieczną, każdy bowiem traktat może być zawsze zerwany, „odpowiada bowiem konjukturze czasu", do każdego stosuje się milcząco przyjmowana klauzula „rebus hic stantibus", jak to określił największy po Fryderyku II pruski polityk Bismark." [1])

O tem jednak nie pamiętano, a zresztą nie było wówczas dla Polski innego wyjścia. Sejm polski chciał być naprawdę wolny, chciał z pomocą pruskiej potęgi wprowadzić Polskę w poczet mocarstw europejskich. Do tego celu jedna tylko była droga: zdeptać gwarancję rosyjską, rzucić rękawicę Katarzynie II-giej, skorzystać z zawieruchy na wschodzie Europy. I to było doniosłym politycznym czynem Sejmu Czteroletniego, że umiał wyzyskać powikłanie ówczesne, uczynić Polskę na nowo państwem istotnie niezależnem, decydującem o sobie. Wybierać pomiędzy Rosją a Prusami Sejm nie mógł. Zbyt twardo sprawowała Rosja rządy w Polsce, zbyt wiele już krwi polskiej wówczas przelała, by mogła liczyć w Polsce na zwolenników. Stronnictwo reformatorskie, patrjotyczne zawarło przymierze polsko-pruskie.

Dojrzała myśl Konst. 3-go Maja, owoc Sejmu Czteroletniego, gdy na wschodzie zaczęła uciszać się burza, a Rosja wobec pokoju z Turcją mogła pomyśleć o porachunkach w Polsce. Wówczas stanęli obok siebie ludzie, którzy brali udział w najważniejszych wypadkach dziejów Polski od Baru aż do 1830 r.—i podpisali t. zw. „asekurację": „W szczerej chęci ratunku Ojczyzny, w okropnych na Rzeczpospolitą okolicznościach, projekt pod titułem Ustawa Rządu w ręku J. W. Marszałka Seymowego y konfederacyi koronney złożony, do jak naydzielniejszego popierania przyimiemy, zaręczając to nasze przedsięwzięcie hasłem miłości Ojczyzny y słowem honoru, co dla większey wiary podpisami naszemi stwierdzamy" [1]). Ta Ustawa Rządowa to konstytucja czasów Stanisławowskich, bez której czem bylibyśmy, nie da się pomyśleć bez zgrozy. Chociaż nie weszła ta konstytucja w życie, „okropne bowiem okoliczności" nie pozwoliły na to, siła jej moralna przetrwała lata, była ona istotnie „arką przymierza między młodszemi a dawnemi laty", dała narodowi siły na długie wieki klęski. Jest ona zarazem najszczytniejszym wyrazem tego, że odrodzenie się dokonało, że ten naród, zdobywający się na to wielkie dzieło, mógł o sobie stanowić, że godny był niezależności, że łudził się i rwał z młodzieńczą wiarą i siłą do nowego życia. I to właśnie było główną przyczyną, że na to mu nie pozwolono, obawiając się i słusznie, że rządna, z gotowem wojskiem, uporządkowanym skarbem Polska stać się może groźną sąsiadką, a w każdym razie bezkarnie prowincji zabierać sobie nie pozwoli. To dążenie do niezawisłości postanowiono stłumić w zarodku...


Hugo Kołłątaj. (Sztych ze zbiorów H. Wildera).

Wartość Ustawy Majowej powiększa i to jeszcze, że była ona reformą samorodną, narodową, zastosowaną do gruntu polskiego. Była mniej liberalna od urządzeń wolnościowych Francji, przewyższa jednak wszystko to, na co się zdobył oświecony absolutyzm na Zachodzie. Była nakoniec aktem dobrowolnych ustępstw ze strony szlachty: z własnej inicjatywy obdarza szlachta mieszczan pewnemi prawami, chłopów brała pod opiekę prawną.

Zniesiono liberum veto i konfederację, postanowiono zwiększyć wojsko do uchwalonej poprzednio

[1]) Dembiński, str. 327.

[1]) Dembiński str. 484.



Widok z Krak. Przedm. na dom Staszica (Tow. Przyj. Nauk) podług F. Dietricha. (Ze zb. H. Wildera).

liczby 100.000, zaprowadzono tron dziedziczny. Sejm miał się zbierać co dwa lata. Poseł miał być przedstawicielem nie jednego powiatu, ale reprezentantem całego narodu. Zdawali sobie sprawę twórcy tej ustawy, że posiada ona pewne błędy i wady, uchwalili więc, że co lat 25 ma się odbywać sejm konstytucyjny, przeznaczony specjalnie dla rewizji i poprawy konstytucji. Zapewne więc po latach, podlegając ciągłemu doskonaleniu się, konstytucja 3-go Maja byłaby jedną z lepszych konstytucji w Europie.

Ludzie Sejmu Czteroletniego mogli więc, patrząc na zwycięstwo Targowicy, a upadek konstytucji, powiedzieć, jak Franciszek I: tout est perdu fors l'honneur.

Jakież znaczenie ma jednak Targowica?—Istotnie żadne. Grono malkontentów, przedstawicieli stronnictwa staroszlacheckiego, chce zburzyć cenne dzieło Sejmu Czteroletniego, sił jednak na to nie posiada, udaje się więc nad Newę, aby przy pomocy obcych bagnetów dzieła zniszczenia dokonać. Z tą myślą już od dawna nosi się Rosya, skwapliwe więc propozycje targowiczan przyjmuje.

Na wieść o wkroczeniu armji rosyjskiej w granice Rzeczypospolitej wyrusza wojsko na plac boju pod wodzą młodocianego ks. Józefa. Wojna w obronie Ustawy 3-go Maja jest dowodem, że wzniosłym programom, głoszonym z uniesieniem, nie sprostał czyn, siła realna, któraby stanęła na straży tego, co naród czuł i postanowił wprowadzić w życie. Na czele nielicznej garstki źle uzbrojonego i niekarnego żołnierza szedł ks. Józef bronić Ojczyzny i Konstytucji 3-go Maja — a przecież nie było to wszystko, na co się mógł zdobyć naród! W takich warunkach trudno było nie przegrać, przecież pod Zieleńcami zwycięża ks. Józef. Wygrana ta nie zaważy jednak na szali wypadków, król bowiem przystąpił do Targowicy. Rodzi się wówczas myśl porwania króla do obozu, zmuszenia go do dalszej walki — oparł się jednak temu ks. Józef, plan spełzł na niczem. Myśl jednak chwycenia się środków rewolucyjnych zrealizuje się w insurekcji Kościuszkowskiej.

Powstanie r. 1794 ofiarną krwią obmyje naród ze wszystkich grzechów i win. Racławice błyskiem nadziei oświecą mroki duszy narodowej. Manifest w Połańcu sprzągnie raz na zawsze sprawę walki o niepodległość ze sprawą emancypacji ludu. Wbrew jednak nadziejom przyjdą Maciejowice — grób powstania.

Kościuszkę największą czcią obdarza naród, bo on jest właśnie symbolem walki w r. 1794. Ten właśnie rok jest epilogiem czasów Stanisławowskich, jest dowodem, że odrodzenie się dokonało.

Dr. Wacław Orłowski.

Cichego śniegu biała tajemnica...

Cichego śniegu biała tajemnica
Otula szare, zmarzłe pól zagony...
W dal cichą, śnieżną idę, rozmarzony,
I czar tej Białej Bajki mnie zachwyca...

Jakby z Zaświata na te szare grudzie
Leciało ciche, zimne, białe kwiecie...
Śniąc o dalekiej, niedościgłej mecie,
Idę, jak wiking, zakochany w cudzie...

Jakby świat wkoło, na zaklęcie zimy,
Zmieniał się w sagę cichą, senną, białą...
Idę... I jakby coś do mnie szeptało,
Że wiecznie będzie trwał czar, który śnimy...

Wacław Wolski.

Z powodu X Wystawy dorocznej w Warszawie.

Na międzynarodowych wystawach sztuki w Wenecji, Rzymie, Monachjum, czy Wiedniu salon sztuki polskiej, aczkolwiek ilościowo skromnie zwykle obsyłany, sprawia nawet na obcym, kosmopolitycznym turyście wrażenie świeżości sadu wiśniowego, w którym w pierwszych blaskach wiosennego słońca kąpią się pełne okiście białego kwiecia, powietrze wibruje balsamiczną wonią, liście i kwiaty lśnią tysiącem rozigranych barw.

W salonie malarstwa polskiego czuć temperament i rasę młodej sztuki, czuć wiarę w przyszłość tych prawd nowych, których jest wyznawcą i apostołem, czuć świeżość poranku nowej słowiańskiej sztuki, broniącej się przed smakiem i eklektyczną kulturą Zachodu, sztuki uduchowionej milczeniem tysiąca wieków, sztuki, z wypisanym na bojowym sztandarze groźnym dla zmurszałych fundamentów Europy napisem „Ex oriente lux!"



Alfons Karpiński. Tow. Z. S. P. Salon 1913. (Z oryg. fotogr. A. Masłowski). Przy studni.

Towarzystwo Zachęty miało zapewne jako przewodnią myśl w urządzaniu od lat dziesięciu dorocznych wystaw, z paryska „salonem" zwanych, przegląd artystyczny talentów w malarstwie i rzeźbie polskiej. Myśl szlachetna i zacna, lecz w obecnych stosunkach lokalnych trudna do przeprowadzenia.

Codzienne pisma warszawskie nazywają dotychczas artystów polskich, zamieszkałych i tworzących w Warszawie, „kolonją artystyczną".

Liczny poczet malarzy i rzeźbiarzy warszawskich to nie kość i krew społeczeństwa, lecz izolowany etnicznie klan, gmina odrębna artystów polaków!..

Miljonowa Warszawa zaspakaja swe zapotrzebowania estetyczne nie u swych współobywateli twórczych, związanych życiem, kulturą, upodobaniami i smakiem, lecz u garstki kolonistów artystycznych...

Doprawdy, dziwnem byłoby stanowisko artysty w 30 miljonowym narodzie, w którego stolicach duchowych sztuka byłaby kolonją egzotycznych zamorskich gości, ukaranych za swój pietyzm dla sztuki — ostracyzmem.

Urobienie i powstanie pojęcia „kolonja arty-



Józef Ryszkiewicz (sen.). T. Z. S. P. Salon 1913. (Z oryg. fotogr. A. Masłowski). Walka.

styczna polska w Warszawie" nie jest wymysłem wzmiankarzy i reporterów: w nomenklaturze tej tkwi tragizm doby obecnej, w której u nas sztukę odsunięto po za nawias społeczeństwa. Żyją i tworzą wśród nas artyści, lecz ich prace i dzieła nie z tego świata, ich czyny i myśli kłębią się w ascetycznej celce wieżycy z kości słoniowej, lub rzucane hojnie i szczodrobliwie, rozpraszają się i giną w morzu obcych organizmów, obcych społeczeństw. Sztuka polska wyprzedziła społeczeństwo i znalazłszy się osamotniona, zamknęła się w sobie, wytwarzając wśród swoich braci i sióstr, ojców i matek wyspę przyszłości, „kolonją artystyczną" nazwaną.

W obecnej dobie sztuki polskiej rozróżnić należy dwa kierunki: jeden, obejmujący samodzielną twórczość talentów, wyzwolonych z pod wszelkich wpływów, drugi — kreślący historję wpływów obcych indywidualności, obcych środowisk na artystów polskich.

W każdym przeglądzie sztuki plastycznej wyławiać musimy te dzieła, które wzbogacają skarbnicę własną myśli i ducha narodowego, a odtrącić to, co jest przetrawieniem, odpadkiem kultury obcej.

O ile na wspomnianych wystawach międzynarodowych talenty nasze, odpowiednio segregowane, mają urok i czar nadchodzącej wiosny, wyrażają pewną jednolitość dążeń i pragnień, o tyle nasze „salony doroczne" roją się od maruderów, obcych sprawie wzbogacania sztuki najwyższymi walorami odrębności indywidualnej, rasy i temperamentu.

W pięciu salach Tow. Zachęty umieszczono zwyż pół tysiąca dzieł sztuki, nadesłanych z całej Polski, z zakresu malarstwa, rzeźby, architektury i grafiki. Wystawa doroczna, ze względu na naganną w sztuce kompromisowość, zniwelowała poziom ogólny do szablonowej wartości.

Przegląd dzieł zaciera wyraźne dążenie sztuki naszej do dekoratywności, zaciera momenty przewodnie nowej epoki malarstwa polskiego, nie wykazuje nowych etapów rzeźby polskiej i rozwijającej skrzydła młodej architektury, grafiki i drobnego przemysłu artystycznego w Polsce.

Sztywni „bataliści" wystrzelają ostatnie fajerwerki. Przepyszny koń Wojciecha Kossaka staje dębem przed „powiększeniem fotograficznem" dziewczynki p. Piątkowskiego. Chrystusik litewski Hofmanna smętnie patrzy na milletyzmy p. Kuleszy. Słowem zgiełk, wrzawa i rozpieranie się złoconych ram nie dozwalają na krytyczny przegląd bojowych sił sztuki polskiej.

Wystawa doroczna, z powodu nagromadzenia na małej przestrzeni dzieł rozmaitych kierunków i o różnorodnej skali wartościowej, nie przyczyni się do orjentacji, nie oświetli jasno wyraźnej drogi, po której stąpa żyjąca w Warszawie „kolonja artystyczna" i artyści krakowscy, lwowscy i poznańscy.

Marjan Dienstl.

Bunt.

Idzie lasem dziwny śpiew;
Głuchą pieśń swą śpiewa bór,
Pieśń targanych wichrem drzew,
Pieśń z pod nieba czarnych chmur.

Idzie lasem wielka tajemnica.
Idzie lasem głuche łopotanie
I litanię za liści konanie
Szumią drzewa. A dziwna tęsknica
Płynie górą splątanych konarów.
I w poszumie tych tajemnych gwarów
Jakaś obca wciąż płacze się nuta,
Jak świst dziki karzącego knuta,
Jako wycie gończych zwierząt psiarni.

Na aksamit zblakły leśnej darni
Drzewa sypią szmaragdami liści.
Z świstem dzikim jako wycie psiarni,
Wiatr obrywa jarzębiny kiści.
Krwawo płaczą jarzębiny,
Koralową sieją krew,
I za czyje, czyje winy
Krwawo płaczą jarzębiny?

Nagle w mroku sinych chmur,
Po czarnych konarach drzew
Dziwna wieść przebiegła bór...
Zaszumiały drzewa śpiew.

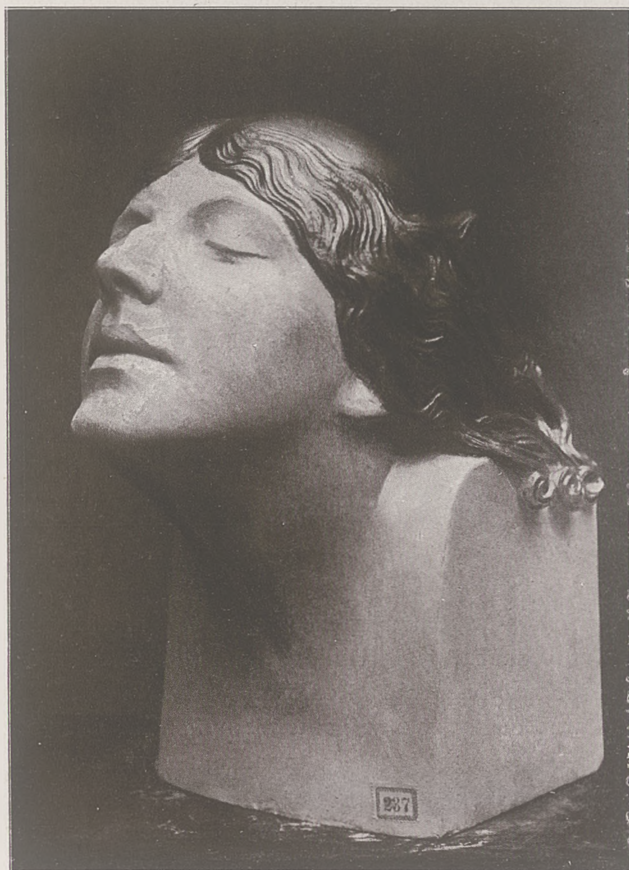
. . . .
. . . .

Przyszedł wicher, mocny pan.
Porozpuszczał sfory psów...
Poszły liście w dziki tan.

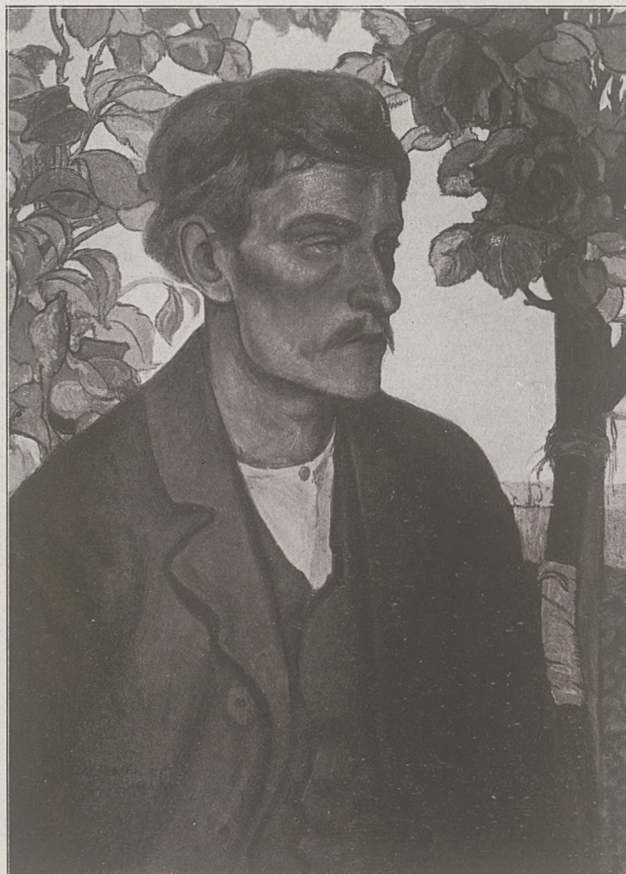
. . . .
. . . .

Szumią drzewa pieśń swych snów.

H. Ordon.



Stanisław Jagmin. Tow. Z. S. P. Salon 1913. Złotowłosa.



Antoni Dzierzbicki. Tow. Z. S. P. Salon 1913. Ogrodnik.



Marjan Puffke. Tow. Z. S. P. Salon 1913. Prządka Podhalańska.



Wilhelm Wachtel. Tow. Z. S. P. Salon 1913. Sulamitka.

(Z oryginałów fotogr. A. Masłowski.)



Pałac w Niedźwiedziu od strony ogrodu.

PAŁACE I DWORY.

NIEDŹWIEDŹ, W PRUSACH ZACHODNICH.

W ziemi Chełmińskiej w Prusach Zachodnich, otoczony pierścieniem kolonizacji, leży piękny majątek, Niedźwiedź, staropolska siedziba, która w drodze spadku przeszła w ostatnich latach na własność rodziny Mieczkowskich w osobie p. Wacława Mieczkowskiego z Ciborza.

Poprzedni właściciel Niedźwiedzia, ś. p. Kucharski pozostawił tam nader piękne zbiory, które, dzięki zamiłowaniu obecnego właściciela Niedźwiedzia, znacznie powiększone zostały nowymi cennymi nabytkami. Zbiory niedźwieckie świadczą nietylko o wielkich nakładach, czynionych przez właściciela, lecz i o znawstwie p. Mieczkowskiego, który posiada dziś w pałacu swym tak cenną i godną uwagi kolekcję.

Zbiory w Niedźwiedziu kolekcjonowane są umiejętnie, to też mimo różnorodności stylów, epok i rodzajów nie czynią wrażenia chaosu, przeciwnie, przez dobre ugrupowanie harmonijną tworzą całość.



Sala portretowa w Niedźwiedziu.

Zaraz od wejścia w hallu mamy unikat w swoim rodzaju—meble *orient* po królu serbskim Milanie, prócz tego cenne szabaśniki a na ścianach rozwieszone rzadkie stare sztychy.

Idziemy dalej—majestatyczna zbrojownia i zarazem sala jadalna z meblami *boule*; w sali portretowej znów, prócz cennych obrazów mamy zbiór starych sreber i pasów słuckich; w sali *empire* imponuje zbiór porcelany i starej biżuterji; w salonie gdańskim nie można dość napatrzeć się bronzom i rzeźbom wspaniałym; w olśniewającej „sali białej“ w stylu Ludwika XVI, przykuwa naszą uwagę zbiór ceramiczny i pasteli, w bibljotece zaś w stylu *empire* podziwiamy kolekcję starych obrazów olejnych.

Trudno krótką wzmianką objąć wszystkie—że się tak wyrażę—skarby, które pałac w Nie-

dźwiedziu mieści w sobie; dałoby się o tem całą broszurę napisać. Pośród zbiorów wiele jest niezwykle rzadkich i ciekawych rzeczy, mogących jako arcydzieła danej epoki, stanowić nawet nader poważny materjał dla badaczy i miłośników sztuki.

Po słynnych zbiorach Giełdzińskiego w Gdańsku, zbiory p. Mieczkowskiego zaliczyć należy do jednych z cenniejszych w prywatnem posiadaniu w zaborze pruskim, z kolekcjonowanych w stosunkowo nie tak długim przeciągu czasu, co tem większą jest zasługą dla ich właściciela.

Konferując szerzej z p. Mieczkowskim podczas polskiej wystawy w r. z. w Toruniu na temat zbiorów w Niedźwiedziu, wyniosłem przekonanie, że właściciel ich poważnie i ze znawstwem rzecz traktuje a zamiłowanie oparte tu jest na wysokiej kulturze, odczuwającej tradycje przeszłości w nawiązaniu ze stylem ich epoki i nie przeżywającą się estetyką.

Nietylko wewnętrzne urządzenie pałacu lecz i całe otoczenie na zewnątrz świadczy o kulcie dla piękna właścicieli Niedźwiedzia.

Przechodzimy do parku; tu już zaznaczyć trzeba współudział małżonki p. Mieczkowskiego, pani Wacławy z Działowskich, która przy boku męża nie szczędzi pracy by estetyka parku harmonijnie związana była z całością rezydencji. W każdym szczególe widać tu myśl, opracowanie, poczucie piękna i stylu.

Ogród utrzymany jest w stylu francuskim à la Schönbrunn a figura Matki Boskiej na wyniosłej pomnikowej podstawie nadaje charakter pewnej powagi całości otoczenia. Dalej — w parku angielskim stoi starożytny gotycki kościół krzyżacki.

Kreślę te słowa z prawdziwem zadowoleniem, jakie daje przekonanie, że jednak są siedziby w naszym kraju, w których skrzętna dłoń i szlachetne zamiłowanie gromadzi tak cenne zbiory i tak piękne pamiątki.

Zet.

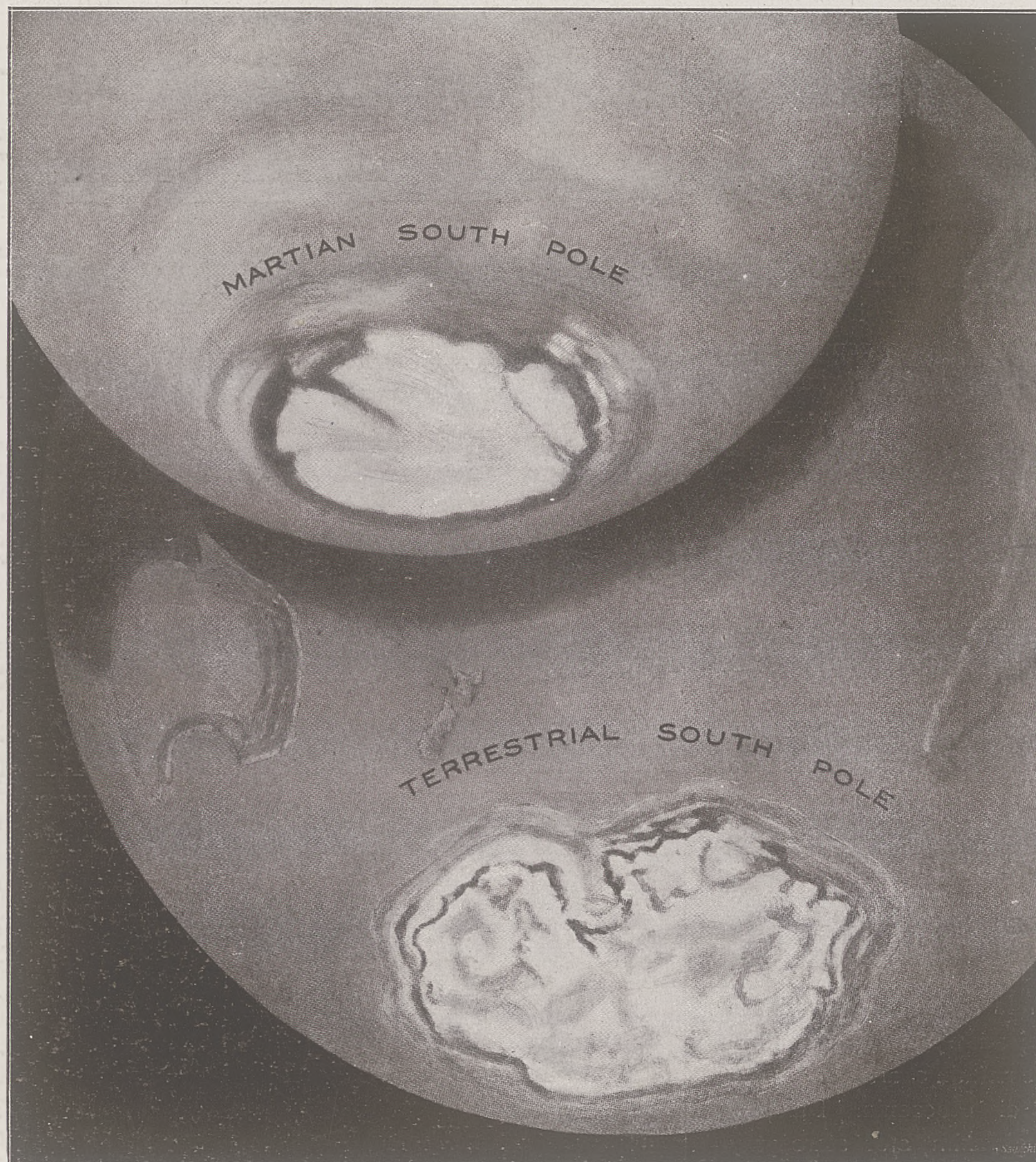






Pałac w Niedźwiedziu: 1) Zbrojownia. 2) Sala biała Ludwika XVI. 3) Sala empire.

CZY NA MARSIE JEST ŚNIEG?



Mapka polarnych pól śniegowych na Marsie i na Ziemi.

Astronomowie sygnalizują nam od czasu do czasu nowe swe „odkrycia“ na Marsie: góry, kanały etc. Teraz znów jeden z uczonych angielskich, Scriven Bolton, zajął się zbadaniem aktualnego w obecnej porze roku problematu: czy na tej planecie jest śnieg. Rysunek powyższy, wykonany przez Bolton'a, wyobraża przypuszczalną mapką pól śniegowych na Marsie i na Ziemi: w górze mamy biegun południowy Marsa, w dole — Ziemi.

Opisując ten rysunek w jednem z czasopism londyńskich, autor mówi: „Ciekawy fenomen na Marsie sam przez się nasuwa w sposób stanowczy myśl o istnieniu wód na tej planecie. Podobnie jak na biegunach ziemi, gdybyśmy mogli objąć je okiem z właściwej odległości, ukazałby nam się wyraźnie całokształt pól śniegowych — bardzo zbliżone do nich nagromadzenie lodu i śniegu istnieje prawdopodobnie na Marsie. Rozległość pól polarnych

marsowych, tak jak i na naszej planecie, zmienia się według pór roku. W czasie zimy marsowej, jak należało się spodziewać, pola śniegowe wykazują maximum średnicy, jakieś 1200 mil, podczas gdy w miesiącach letnich zmniejszają się do prawie niedostrzegalnych rozmiarów, i strefy te przeobrażają się w ciemnomodrą płaszczyznę, przypominającą wodę. A więc warunki polarne Marsa, jeśli je będziemy tłumaczyć sobie właściwie, zbliżone są do warunków naszych biegunów w stopniu godnym uwagi. Powszechnie przyjęto patrzeć na pokryte śniegiem i lodem strefy tej planety, jak na nasze, zwłaszcza odkąd profesor Lowell stwierdził obecność pary wodnej w atmosferze Marsa".



Teatr Nowoczesny. „Kolędy staropolskie". Inscenizacja i dekoracje podług projektu Marjana Dienstla. (Fot. J. Malarski i K. Tavrell).

KRONIKA.

Sekcja teatralna T. L. i D.

Rezultaty zebranej przez redakcję „Świata" ankiety wskazują, iż w państwie naszych kulis zanosi się na poważną rewolucję. Autorzy dramatyczni narzekają na artystów i kierowników scen, na krytykę, na niesprzyjające rozwojowi sztuki dramatycznej warunki organizacji teatru.

W repertuarach scen stołecznych niema stałej linji wytycznej, zmierzającej do czynów artystycznych. Paryż, a co gorsza Berlin stają się niedościgłymi ideałami dyrektorów teatrów polskich. Repertuar naszych scen wzoruje się na kosmopolitycznym repertuarze współczesnych fabrykantów teatralnych.

Wyspiański, Słowacki nie mają swego teatru.

Wielkie dzieła polskiej romantycznej poezji koszlawi się według niemieckiej operowej recepty. Sceny rodzime w pogoni za sukcesem kasowym wyzbywają się godności, zatracają twórcze pierwiastki talentów, zatracają poczucie stylu gry odrębnego, świadczącego o pewnych zdobyczach naszej teatralnej kultury.

W sprawach teatru zabierają nieraz głos ludzie nieprzygotowani, nie rozumiejący sztuki, lub co gorsza znudzeni.



Czesław Jankowski, przewodn. nowoutworzonej sekcji teatralnej T. L. D.

Wystawa nowoczesnego malarstwa scenicznego, urządzona w październiku i listopadzie oraz zorganizowanie „Sekcji teatralnej" T. L. i D. to dwa czyny, które zaróżowiły się na ciemnym firmamencie sceny polskiej, świadcząc, iż rozbudzona fala ruchu Odrodzenia teatru zakołysała się już na ziemiach polskich.

Ludzie talentu, pełni zapału i wiary w lepszą przyszłość, rozpoczęli pracę u podstaw naszej kultury teatralnej.

W zorganizowanej przez inicjatorów: Marjana Dienstla, Mirosława Poznańskiego i Kazimierza Wroczyńskiego „Sekcji teatralnej" rozpoczęła się mrówcza praca nad zbieraniem materjałów i źródeł do historji teatru polskiego.

Na zebranich dyskusyjnych zabierają głos najpoważniejsze umysły, zmierzające do celowego podnoszenia smaku i kultury teatralnej w Polsce. W roku przyszłym wydany będzie staraniem Sekcji teatralnej rocznik „Pamiętnik teatralny", rodzaj almanachu scen polskich, jak również już są dokonywane przygotowania do wystawienia okazałej, niegranej dotychczas tragedji *C. Norwida* „Krakus książę nieznany".

Zarząd Sekcji, wybrany z łona Tow. lit. i dziennikarzy, tworzą: Czesław Jankowski jako przewodniczący, Franciszek Siedlecki — zastępca, Marjan Dienstl — sekretarz, Mirosław Poznański — zastępca, Kazimierz Wroczyński — bibliotekarz.

Zebrania dyskusyjne odbywają się dwa razy na miesiąc w Tow. literatów i dziennikarzy, gdzie zorganizowano specjalną bibliotekę i czytelnię fachowych dzieł i czasopism z zakresu teatralnej literatury i sztuki.

Zdzisław Morawski.

Prowizoryczny kierownik ministerstwa dla Galicji.

Dr. Zdzisław Karol Dzierżykraj-Morawski, urodzony 4 listopada 1859 roku w Jurkowie, w Poznańskiem rozpoczął w roku 1885 swoją karjerę urzędniczą, jako praktykant konceptowy przy Dolnoaustr. Prokuratorji Skarbu, w roku 1887 przeszedł do służby konceptowej przy Dolno-austr. Namiestnictwie i został jeszcze w tym samym roku powołany do sprawowania służby w Ministerstwie wyznań i oświaty.

Powołany w r. 1889 do Prezydjum Rady Ministrów, został w roku 1890 mianowany komisarzem powiatowym galicyjskiego Namiestnictwa extra statum z pozostawieniem w Prezydjum Rady Ministrów. W roku 1893 Morawski otrzymuje nominację na wicesekretarza mi-



D-r Zdzisław Dzierżykraj-Morawski, nowy prowizoryczny kierownik ministerstwa dla Galicji.

nisterjalnego. W r. 1906 zostaje radcą ministerjalnym ad personam. Dotychczas piastował w Ministerstwie dla Galicji urząd kierownika biura.

Radca ministerjalny Morawski cieszy się w kołach parlamentarnych u wszyst-

kich stronnictw polskich największą sympatją i poważaniem, dzięki swemu wieloletniemu doświadczeniu, niezwykłej uprzejmości, wysokiemu ogólnemu i fachowemu wykształceniu i swej dokładnej znajomości stosunków kulturalnych i ekonomicznych kraju.

Jest on autorem wybitnych dzieł z dziedziny literatury i sztuki, dzieł bardzo cenionych, jak „Canossa", „Sacco di Roma" i in.



Kwestarze z wozem *Pociejowa dla sierot* Tow. „Gniazd Sierocych" objeżdżają ulice Warszawy.

Pociejów.

Pociejów... w tem jednem słowie ileż się pojęć mieści! Pociejów to dzielnica miasta, to zbiór starych gratów, to tandeta, to gwar, zgiełk i chaos, Pociejów, no... co chcecie to jest Pociejów. Dziś przybywa jeszcze jedno pojęcie dla tych trzech sylab... Pociejów — to miłosierdzie, a nowe to pojęcie stworzyła piękna inicjatywa ludzi dobrej woli, którzy obmyślili sympatyczną, nową w pomyśle i celową kwestę na rzecz tak pożytecznej instytucji, jaką jest Tow. „Gniazd Sierocych".

Artystycznie ozdobione wozy objeżdżają miasto, kwestarze przyjmują ofiary, gdzie dobre serca współczują niedoli bliźnich. Wszystko przyjmowane jest z wdzięcznością: drobiazgi bezwartościowe i zepsute, starzyzna do wyrzucenia, bezużyteczne cacka i wogóle jaką tylko kto ofiarę ze swych rupieci złoży — Pociejów przyjmuje. Nie potrzeba chyba wspominać, że i cenniejsze rzeczy, czyja łaska, nader pożądane są dla Pociejowa „Gniazd Sierocych".

Pamiętajcie więc o tym nowym naszym „Pociejowie" i przyczyńcie się swemi w danym wypadku nie uciążliwemi przecież ofiarami, by dopomódz w szlachetnej pracy komitetowi „Pociejowa" w osobach pp. hr. Ostrowskiej (głównej organizatorki), Budnowej, Hubertowej, ks. Lubomirskiej, Nawrockiej, Ranieckiej, Starzyńskiej, Lipskiej, Radoszewskiej i wiceprezesa Tow. „Gniazd Sierocych" p. Rekierta.



HELENA hr. OSTROWSKA,
główna organizatorka *Pociejowa dla sierot.*

Własny gmach
Tow. Wz. Pom. P. H. i P. m. Warsz.

W przededniu poświęcenia własnego gmachu T-wa Wzajemnej Pomocy Pracowników Handlowych i Przemysłowych m. Warszawy, tych słów kilka kreślimy, pragnąc zwrócić uwagę na celowość zabiegów i intensywną pracę tej wysoce pożytecznej społecznej instytucji.

T-wo powstało przed laty trzydziestu i już w początkach, gdy liczba członków ledwie do tysiąca dochodziła, poruszono sprawę budowy własnego gmachu. Dopiero jednak konkretny wniosek, postawiony przez p. J. Karasińskiego na ogólnem zebraniu w r. 1894, kwestję budowy zdecydował.

Powołano komisję, która zajęła się urzeczywistnieniem zamierzenia, a było to przedsięwzięcie nader trudne wobec braku funduszów na cel powyższy. Chociaż posypały się składki i zobowiązania, jednakże zbyt małą była zebrana suma, by budowę przedsięwziąć. Dopiero ofiarność ś. p. Edwarda Czabana, który zapisał na ten cel 15,000 rb., wprowadza w r. 1898 całą sprawę na znacznie lepsze tory. Czternaście lat jednak upłynęło od tej chwili, zanim, dzięki dalszym ofiarom i składkom członków oraz wyrobieniu dogodnych kredytów, można było przystąpić do budowy gmachu. Wreszcie na wiosnę 1912 roku rozpoczęto budowę, która, ukończona w roku bieżącym, daje piękne świadectwo zabiegliwości instytucji i energji komisji budowlanej. Stanął więc już gmach przy ul. Siennej, wzniesiony według planów budowniczego Wiśniowskiego, ze zmianami wprowadzonemi przez bud. Nieniewskiego. Budowa to estetyczna, w stylu Ludwika XVI, wyróżniająca się rysunkiem, ornamentacją i przy ogólnej powadze pewną lekkością i strzelistością w konstrukcji. Przytem, w planowaniu uwzględnione zostały wszystkie potrzeby dotyczące rozmieszczenia biur T-wa, wydziałów, sal i t. d.

Gmach własny daje podstawę dalszego świetnego rozwijania się instytucji i stanie się ośrodkiem zbiorowego, umysłowego i towarzyskiego życia członków,



PASTOR JULJUSZ BURSCHE.

Jubileusz 25-letniej pracy.

Jeneralny superintendent zboru ewangielicko-augsburskiego, pastor Juljusz Bursche święcił w tych dniach jubileusz 25-letniej pracy. Liczne delegacje towarzystw filantropijnych, szkół i djakonatu składały najwyższemu dostojnikowi kościoła ewangielickiego w naszym kraju serdeczne życzenia.



Front nowowybudowanego gmachu Tow. Wzaj. Pom. Prac. Handl. i Przemysł. m. Warszawy. (Poświęcenie odbędzie się dn. 18 b. m.).

których pokaźna dziś liczba, wynosząca z górą 4.000 osób, wzrośnie zapewne w najbliższej przyszłości.

T-wo posiada czytelnię, redakcję własnego organu p. n. „Świat pracowniczy“, a dalej — koła zawodowe buchalterów, kolonjalistów i metalowców, koła specjalne wpisów szkolnych, członków „20-letnich“, koło gimnastyczne, koła artystyczne: „drużyna śpiewacza“ i kółko dramatyczne i, w końcu, kasy: przezorności i pogrzebową; nieocenione zasługi również oddaje T-wu wydział wyszukiwania pracy.

W dniu 18 stycznia odbędzie się poświęcenie gmachu T-wa; z uroczystości tej nie omieszkamy dać w następnym numerze odpowiedniego sprawozdania wraz z ilustracjami.



Józef Karasiński, redaktor „Handlowca“, inicjator budowy nowego gmachu T. Wz. Pom. Pr. H i P.



Władysław Suchodolski, prezes T. Wz. Pom. Pr. H. i P.

Juljusz Claretie.

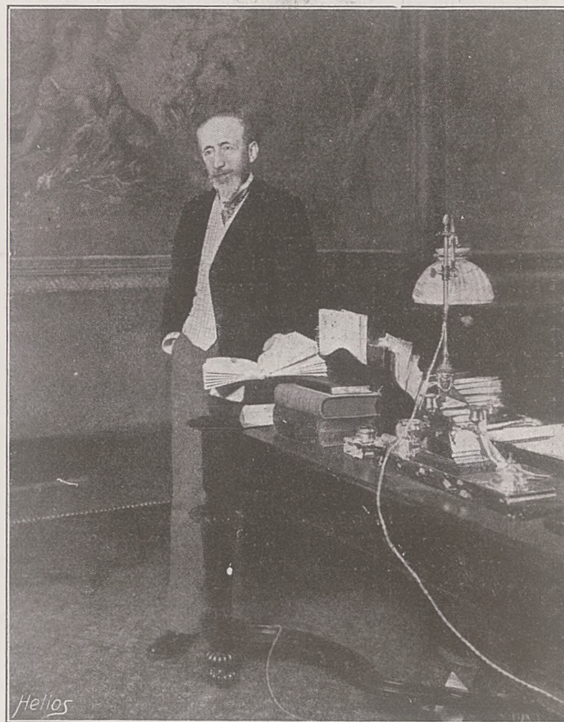
W końcu grudnia zmarł w Paryżu, przeżywszy 73 lata, wybitny powieściopisarz i dramaturg, członek Akademji Francuskiej, Juljusz Claretie.

Urodzony w Limoges, kształcił się w paryskiem liceum Bonapartego, następnie wziął się do dziennikarstwa, brał udział w walkach podczas oblężenia Paryża przez prusaków, a gdy nadzieje wystąpienia na arenie politycznej w charakterze posła do Izby deputowanych zawiodły go, oddał się wyłącznie pracy pisarskiej.

Ogłosił drukiem szereg utworów dramatycznych i historycznych, począwszy od wydanych w r. 1864 *Les victimes de Paris;* z powieści jego tłumaczono na polski: *Le million* („Miljon“, Warszawa 1884) i *Puyjoli* (w przekładzie polskim wyszło w r. 1891). Gorący patrjota, po pogromie 1870 roku ogłosił szereg płomiennych broszur o Alzacji i Lotaryngji, w których nawoływał do myśli o „odwecie“, protestując namiętnie przeciw ówczesnym tendencjom socjalnoradykalnym, skierowanym wyłącznie ku reformom społecznym, z pominięciem ideałów patrjotycznych.

W ciągu ostatnich lat 20-tu Claretie zaznaczył swą działalność najdobitnej a raczej wyłącznie na odpowiedzialnem stanowisku dyrektora „Komedji Francuskiej“, pierwszego teatru dramatycznego we Francji, strażnicy wielkich tradycji sztuki klasycznej w „Domu Molièra“. Mianowany dyrektorem w r. 1885, ustąpił z tego stanowiska dopiero przed kilku miesiącami. Należy ono do najtrudniejszych placówek kulturalno - społecznych we Francji, wskutek samej organizacji *Comédie Française*, stanowiącej trupę „Stowarzyszonych“ artystów dramatycznych — rodzaj teatralnej kooperatywy, gdzie stanowisko dyrektora wobec prerogatyw członków stowarzyszenia wymaga wielkiego taktu i zręczności.

Dał Claretie dowody tych zdolności dyplomatycznych w czasie słynnej swego czasu walki z t. zw. *Comité de lecture*, ustanowionym jeszcze przez Napoleona w jego dekrecie z pod Moskwy w r. 1812, określającym statut „Komedji Francuskiej“. Ów „Komitet lektury“



Juljusz Claretie.



Kardynał Rampolla.

bruździł dyrektorowi tak dalece w układaniu repertuaru, że doprowadził do pamiętnego w historji „Domu Molièra" zatargu, zakończonego skasowaniem „Komitetu". Dopiąwszy swego, Claretie nie chciał wyzyskiwać swego zwycięstwa i upokarzać próżności aktorów: z własnej woli przywrócił tedy „Komitet", zostając w ten sposób panem położenia i doprowadzając do normalnego stanu zaognione stosunki między „Stowarzyszonymi" a dyrektorem.

Konserwatysta z przekonań, był na swem stanowisku człowiekiem odpowiednim, mając za zadanie ochronę tradycji klasycznej sztuki francuskiej w pierwszym teatrze narodowym.

Rampolla.

Śmierć najwybitniejszego z dostojników kościoła, znakomitego kardynała Rampolli, sekretarza stanu za papieża Leona XIII i najpierwszego kandydata na tron papieski po śmierci tegoż papieża, przyszła nader niespodziewanie, gdy ani stan zdrowia zmarłego, ani wiek myśli tej nikomuby nie nasunął. Stąd urosły różne pogłoski o nienaturalnej jakoby śmierci dostojnika kościelnego, a fakt, że zginął ostatni testament kardynała, pogłoskom tym nadał bądź co bądź pewne cechy prawdopodobieństwa. Co dalsze dochodzenia w tym kierunku przyniosą — przyszłość pokaże.

Śmierć tego wybitnego kardynała wielką stratą jest dla kościoła, Rampolla bowiem, chociaż po śmierci Leona XIII nie brał bezpośredniego udziału w rządach Watykanu, jednakże powagą swą nieraz najważniejsze kwestje rozstrzygał. Rampolla usilnie pracował nad przywróceniem władzy świeckiej papieża, dążył stale do nawiązania dobrych stosunków między Francją a Watykanem, w stosunku zaś do Polaków zawsze odznaczał się przychylnością.

Przed rokiem, gdy Ojciec święty ciężko zaniemógł, jako domniemanego następcę na wypadek katastrofy wymieniano Rampollę, tembardziej że po pamiętnem *veto,* które zdarzyło się pod czas ostatniego conclave, gdy Austrja złożyła protest przeciw wyborowi Rampolli, Pius X wydał *breve*, znoszące uwzględnianie protestów państw przy obiorze papieża.

Raul Pugno.

Warszawa z upragnieniem oczekiwała koncertu wielkiego wirtuoza, Raula Pugno, zapowiedzianego w Filharmonji. Niestety, nagła śmierć pianisty nie pozwoliła nam doczekać tej rzadkiej i niepospolitej uczty artystycznej.

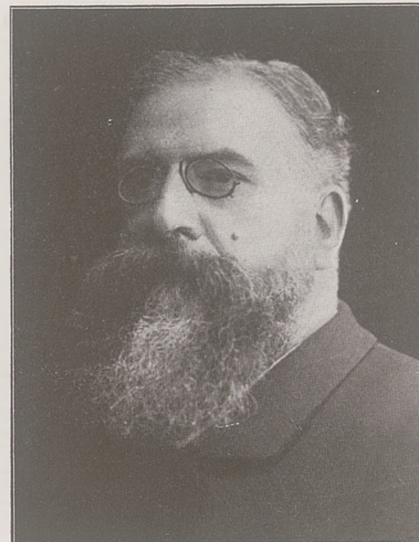
Pugno, urodził się w południowej Francji w r. 1858. Początkowo kształcił się na organistę pod kierunkiem rodziców, nader utalentowanych muzyków.

Po przyjeździe do Paryża, posiadając dobre podstawy muzyczne, kształcił się dalej pod kierunkiem Marmontela i Thomasa. Po ukończeniu studjów, został głównym akompanjatorem w Operze paryskiej, lecz obowiązki przyjęte zbytnio odrywały go od pracy w umiłowanym kierunku, będącej właściwym celem jego artystycznych dążeń i aspiracji. Wkrótce też oddał się Pugno wyłącznie kompozycji i wirtuozostwu. Jako kompozytor jednak nie stworzył nic wybitniejszego, coby imię jego wśród plejady twórców utrwaliło, natomiast zasłynął, jako pianista-wirtuoz i tu zajaśniał pierwszorzędnym blaskiem swego geniuszu.

Uczucie i siła jego tonu, przy rzadkiej sprawności technicznej, porywały słuchaczy.

Śmierć przedwczesna zabiera mistrza-odtwórcę, zabiera tytana fortepianu — pozbawia świat artystyczny bezcennego wzoru, jak kompozytorów odczuwać i pojmować należy, pozbawia tłumy rozkoszy artystycznej, jaką dawała niepospolita gra zgasłego mistrza.

Jako profesor gry fortepianowej, położył Pugno również niemałe zasługi.



Raul Pugno.

VARIA.

Jak Negus abisyński zabezpiecza się od „złego oka".

Dzienniki zagraniczne potwierdziły ostatecznie wiadomość, kilkakrotnie dawniej odwoływaną o śmierci władcy Abisynji. Na rycinie (str. 21) mamy ciekawą scenę z życia Menelika — uroczystość zwaną Atié-Maskal.

Odbywa się ona w stolicy starożytnej Etyopii co roku, w drugiej połowie września i poświęcona jest specjalnie cesarzowi Abisynji — *Negus Negust* (król królów).

Nazwa uroczystości oznacza „Krzyż cesarza" i przypomina, że negusowie ofiarowali kościołowi część Krzyża Świętego, która jest wprawiona w koronę władców Abisynji.

Atié-Maskal odbywa się w dziedzińcu pałacu cesarskiego w Adis-Ababa. Negus zajmuje swe miejsce, mając po prawicy arcybiskupa (koptyjskiego), zwanego Abuna — po lewej zaś stronie Echegheh'a, najwyższego dostojnika śród kleru krajowego, otoczony duchowieństwem i dworem. Korona Etyopii spoczywa na poduszce na kobiercach. Pod ścianami stoją lub siedzą kapłani, jedni z krzyżem koptyjskim w rękach, inni pod parasolami, baldachimami różno-



Uroczystość przewiezienia świętego Dywanu z Mekki, obchodzona rokrocznie w Kairze.
(Fot. W. Lichtenfels w Kairze).

barwnymi, niektórzy oparci o srebrne posochy. Obecni są też mnisi z potrójnemi tjarami, zakończonemi krzyżem, z którego zwieszają się klejnoty. Rozpoczynają się śpiewy przy wtórze tamburyn i trąb. Kapłani biorą księgę Ewangelji i podają ją cesarzowi, który jest wtedy „zawoalowany" — co znaczy, iż kiedy całuje księgę, otoczony jest zasłoną z jedwabiu, łagodnie poruszaną — by zabezpieczyć się od „złego oka". Poczem kapłani wykonywują taniec rytualny — i wreszcie cesarz ugaszcza duchowieństwo miodem, piwem i surowymi pokarmami.

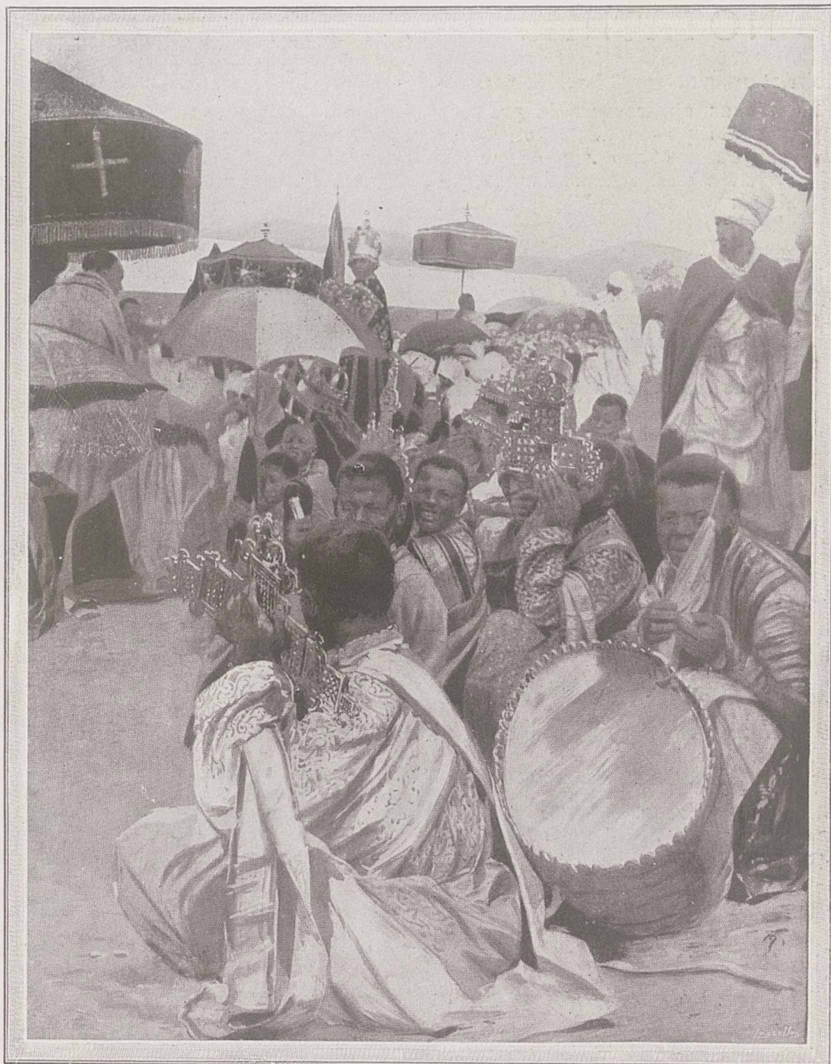
Abisyńczycy, nawróceni na wiarę chrześcijańską w IV wieku po Chr., zostali członkami Kościoła Aleksandryjskiego. I do dziś dnia ich arcybiskup, „Abuna" jest zawsze koptem, mianowanym przez Patryarchę koptyjskiego w Aleksandrji, lecz wpływ jego i władza podlega kontroli głowy duchowieństwa krajowego, „Echegheh'a".

Nowa wyprawa do bieguna południowego.

Ernest Shackleton umieścił w *Timesie* list o swojej nowej wyprawie do bieguna południowego. Dzięki wielkiej popularności, jaką dzielny badacz cieszy się w Anglji, składki na pokrycie ogromnych kosztów tej wyprawy napływają bardzo szybko. Zamierzono po raz pierwszy w historji wypraw tego rodzaju przeprawić się poprzez cały kontynent podbiegunowy.

Z naukowego punktu widzenia ekspedycja ta ma niesłychanie doniosłe znaczenie. Prosta droga, jaką trzeba będzie przebyć przez ląd podbiegunowy, wynosi 1700 mil. W wyprawie wezmą udział dwa statki. Shackleton zamierza odbyć tę wyprawę w ciągu 8 miesięcy, z czego połowę czasu zajmie przebycie terenu podbiegunowego.

Komendantem drugiej ekspedycji będzie sir Frank Wild, stary wilk morski, który brał udział w pierwszej ekspedycji Shackletona i który dopiero co powrócił z wyprawy antarktycznej, którą odbył z badaczem australijskim, dr. Mowsonem. Znajduje się on jeszcze w krajach bardzo dalekich i komunikuje się za pomocą telegrafu bez drutu. Pomiędzy członkami tej ekspedycji znajduje się kilku geologów, biologów, fizyków i t. d. Co do samej podróży, opowiada Shackleton co następuje: Wyjedziemy zapewne w pierwszych dniach października r. b. Statki pomieszczą nie więcej, jak 42 mężczyzn. Każdy statek będzie uruchomiony za pomocą turbin i opalany naftą, zamiast węglami. Wszyscy członkowie ekspedycji muszą nauczyć się gotowania, chociaż zabieramy przeważnie pokarmy najzwyklejsze i, rzecz prosta, dużo marynat, zaprawionych tak, aby były już gotowe do jedzenia natychmiast po rozgrzaniu, i konserw. Zabieramy z sobą również 120 psów, częściowo z Alaski, częściowo z Syberji. Oprócz tego będziemy mieli z sobą dwoje sań motorowych, będących w możności transportowania ciężarów około 1000 kilogramów, przy szybkości od 5 do 6 mil na godzinę. Sanie te będą wypróbowane przedtem w Syberji lub też w Kanadzie, gdzie warunki terenowe są podobne do tych, jakie spotyka się pod biegunem.



Cesarz Abisynji, zawoalowany dla uchronienia się od „złego oka"; kapłani na uroczystości *Atié—Maskal* w Adis-Ababa, podczas której korona etyopska z oprawionem drzewem Krzyża Św. gra dużą rolę. (Patrz „Varia").



Śród hindusów brytańskich, pracujących w Południowej Afryce, wybuchł strajk z powodu ogłoszenia przez rząd tamtejszy nowego prawa o imigracji, zabraniającego swobodnego przenoszenia się przybyłych hindusów z jednej prowincji do drugiej oraz ustanawiającego opłatę imigracyjną, w kwocie 3 funtów szterlingów od osoby.

NOTATNIK.

Rolnictwo, przemysł i meljoracje.

□ Wobec opracowywania projektu zamiany serwitutów ministerjum spraw wewnętrznych zwróciło się do władz miejscowych o dostarczenie danych, jakie gminy i wsie posiadają pastwiska dla bydła i w jaki sposób dawane są pastwiska włościanom gdzie niema pastwisk gminnych i gromadzkich, i jakie są ceny za wynajem pastwisk. Gubernatorzy mają również wyrazić opinję, czy zniesienie serwitutów nie odbije się ujemnie na hodowli bydła włościańskiego.

□ Ministerjum komunikacji poleciło powiększyć ilość fabryk rządowych wyrabiających klinkier, w celu budowania szos z tego materjału, wobec znacznego podrożenia szabru. Materjał ten jest równie twardy jak szaber i nadaje się do budowy dróg na sposób holenderski, t. j. przy układaniu w ten sposób, że tworzy się zupełnie gładka powierzchnia szosy.

□ Minister sprawiedliwości złożył Dumie projekt nowego kodeksu cywilnego z nader ważnymi paragrafami dla naszych stosunków rolnych i przemysłowych. Księga obejmuje między innymi działy: umów, zobowiązań, kupna i sprzedaży, najmu, pożyczek, dostaw i transportów, plenipotencji, związków roboczych, spółek, ubezpieczeń, odszkodowań, umów polubownych i t. d.

□ Sprawa zakładania nie istniejących dotychczas u nas szkół ubezpieczeń wkrótce omawianą będzie w ministerjum w celu dalszego skierowania projektu do izb prawodawczych.

□ Komisja budżetowa Dumy przychylnie rozpatrzyła wniosek Koła polskiego przyjęcia na koszt skarbu państwa kosztów pomiarów przy komasacji gruntów drobnej szlachty w Król. Polskiem, jak to już ma miejsce w stosunku do włościan.

□ W Liskowie otwarto pierwszą w guberni Kaliskiej szkołę rolniczą. Szkoła na początek urządzona jest na miejsc 40, opłata szkolna wraz z utrzymaniem wynosi za kursy hodowlane rb. 40 i za mleczarskie rb. 70.

□ Główny zarząd rolnictwa zatwierdził ustawę „Fermy dla dziewcząt włościańskich“, założonej w Krasieninie w gub. Lubelskiej przez córkę znanej naszym czytelnikom ze swych artykułów, współpracowniczki „Wsi i Dworu“ Dr-ej Ireny Kosmowskiej. W „Fermie“ prowadzona jest nauka rolnictwa, gospodarstwa domowego, ogrodnictwa, pszczelarstwa, hodowli i niektórych gałęzi przemysłu ludowego. Przyjmowane są dziewczęta od lat 15.

□ W Marysinie (pocz. Lubraniec, gub. Warsz.) rozpoczynają się w dn. 15 b. m. jedenastomiesięczne kursy tkactwa i gospodarstwa kobiecego dla dziewcząt włościańskich. Przyjmują się kandydatki w wieku nie mniej jak lat 16. Opłata za cały czas wynosi rb. 80.

Teatr, muzyka i sztuki plastyczne.

□ Teatr Rozmaitości wkrótce wystawić ma komedję Tadeusza Jaroszyńskiego p. t. „Wojewodzic podlaski“.

□ Teatr Polski wystawił arcydzieło szekspirowskie „Juljusz Cezar“. Tak wielkie i pełne technicznych trudności przedsięwzięcie, odważnie podjęte przez prywatną scenę polską należy powitać z najwyższem uznaniem. O sztuce pomówimy szerzej w następnym numerze.

□ W Teatrze Nowoczesnym wystawiono w tych dniach wesołą farsę Hennequin'a „Horacy na zawołanie“, dodając ją do wdzięcznej operetki „Edukacja niekompletna“ z poprzedniego programu, utrzymanej w stylu Ludwika XV, wzorowo opracowanej zarówno pod względem wystawy i reżyserji jak i wykonania bez zarzutu. Efektowne widowisko kończą nader miłem wrażeniem „Kolędy Staropolskie“, pomysłowo inscenizowane przez Marjana Dienstla, a opracowane muzycznie przez Elertowicza i Rogowskiego.

□ Wznowienie opery Moniuszki „Verbum Nobile“ spotkało się z gorącem przyjęciem publiczności. Główne role wykonali: p. Zabiełłówna oraz panowie: Dyliński, Grąbczewski, Ostrowski i Palewicz. Operę znakomicie poprowadził kapelmistrz Dołżycki.

□ Arcydzieło Wagnera „Parcifal“ d. 1-go stycznia r. b. weszło na repertuar wielu scen europejskich, do tego bowiem czasu wyłączność wystawiania „Parcifala“ przez ciąg lat 30-tu miał tylko teatr w Bayreuth. Ekspiracja powyższego terminu jest wypadkiem epokowym w świecie muzycznym.

□ Najstarsza firma wydawnicza, istniejąca od początku osiemnastego wieku—„Breitkopf“ a potem „Breitkopf i Härtel“ wydała wszystkie dzieła Chopina w opracowaniu znakomitego pianisty i kompozytora polskiego, p. Ignacego Friedmana. Pomnikowe to wydawnictwo, mieszczące się w dwunastu tomach wspaniale wydanych, dostępne będzie dla każdego, cena bowiem jednego tomu nie przekracza kilkudziesięciu kopiejek! Przyczyni się to znakomicie do rozpowszechnienia utworów nieśmiertelnego mistrza.

□ Kompozytor i kapelmistrz Henryk Opieński z wybitnem powodzeniem dyrygował koncertami w Berlinie i w Petersburgu. Prasa miejscowa poświęciła naszemu kompozytorowi gorące sprawozdania.

□ Prymadonna polska p. Kaftalówna zbiera laury w Hiszpanji. Szczególnie świetnie wypadło wystawienie „Parcifala“ Wagnera w Barcelonie z udziałem naszej śpiewaczki.

□ W dzień Sylwestra odbyło się w Tow. Zach. Sztuk Pięknych losowanie 216 dzieł sztuki, przeznaczonych dla członków T-wa. Zachęta w r. 1913 liczyła największą ilość członków, dotychczas od chwili założenia T-wa Zach. Szt. P. notowaną, opłaciło bowiem składkę 5 rublową 10780 osób.

Nauka.

□ Na zjeździe lekarskim w Petersburgu wyrażono między innemi przekonanie, że jedynym dotychczas względnie skutecznym środkiem przeciwko chorobie raka jest operacja.

□ Shackleton organizuje nową ekspedycję do bieguna południowego, mającą za główne zadanie ustalenie, czy góry Victoria połączone są przez kontynent z Andami. Droga ekspedycji ma wynieść 3000 kilometrów.

Z RACJONALNEJ KOSMETYKI I HYGIENY.

ODPOWIEDZI I RADY.

Mimozie. Przeciw czerwoności nosa i rąk polecam krem „Eros“. Opaleniznę i piegi usunie bezpowrotnie krem Lanol. Kremem smarować na noc, rano wytrzeć się płynem Vesta. Za słowa uznania dziękuję.

Czytelnikowi K. O. Najhygieniczniej konserwuje jamę ustną Elixir radiowy, gdyż jak naukowo stwierdzono, rad dzięki swej promieniotwórczości, wzmacnia błonę śluzową jamy ustnej i, zabijając bakterje dezynfekuje ją. Więc Odol radzę stanowczo zamienić na Eliksir radiowy.

Litwince. W Warszawie istnieje jedyny w tym rodzaju zakład, wyłącznie pod kierunkiem lekarskim, Marszałkowska 116, telef. 16-73, mianowicie Kalotechnika — polecić go mogę z całym zaufaniem, gdyż tego rodzaju operacyjki jak usuwanie znamion barwokowych i brodawek oraz kurzajek wykonywa tam lekarz bez pozostawienia najmniejszych śladów. Godziny przyjęć lekarskich codzień od 4 — 6.

Znudzonej we Lwowie. Wągry i pryszcze usunie, cerę odtłuści, płyn Vesta oraz perełki alkaliczne wyrobu Kalotechniki. Środki te są do nabycia we Lwowie u Pawłowskiego, Akademicka 21. Za bytnością w Warszawie trzeba wągry usunąć mechanicznie — wykona to uzdolniona masażystka w Kalotechnice. Cebulki włosów wzmocni Radiol, pobudzając je do szybszego porostu, Myć włosy mydłem płynnem Antrasolowem, a łupież zupełnie zginie. Tylko hygieniczne utrzymanie włosów konserwuje je dobrze i zapobiega wypadaniu.

40-letniej. Zmarszczki można usunąć tylko masażem wibracyjnym. W tym celu służą Autowibratory D-ra Johansona, zą pomocą których można samej sobie robić masaż. Przed masażem natrzeć lekko twarz kremem Radium, który działa bardzo odżywczo na cerę. Myć się Otrąbkami Vesta z wodą różaną radioaktywną.

Al. B. Włosy (wyczeszki) niech Sz. Pani przyśle do Kalotechniki do analizy lekarskiej. Kosztuje rb. 3. Żółte plamy napewno usunie krem angielski D-ra Orgley'a. Wszystkie te środki posiada na składzie Kalotechnika, Marszałkowska 116, oraz w Wilnie Grużewski, w Łodzi Spiess, w Krakowie Miklaszewski, pl. Dominikański 1, w Radomiu Cieszkowski, w Lublinie Bernatowicz, w Sosnowcu Jagiełłowicz, w Piotrkowie Kryński.

M-me LENA.



ODWIEDZINY POEZJI.

NOWELA.

Pan Piotr Siewierski, powróciwszy w wysokich, zakurzonych butach z pola, pochylał swą ogorzałą na bronz twarz nad misą zsiadłego mleka, którą przed nim postawiła najstarsza córka, Marynka i zajadał głośno, ze zdrowym apetytem.

Winnemi liśćmi, oplatającemi dokoła werandę, poruszał lekko wietrzyk, który z głębi ogrodu nawiewał skomplikowaną i słodką woń kwiatów i zieleni. Na tem tle rysowała się wdzięcznie jasnowłosa głowa pani Siewierskiej, pełnej, jak uosobienie macierzyństwa, kołyszącej na swych kolanach dwuletniego Wacka i przypatrującej się ze zbożnym podziwem apetytowi męża. Z głębi dworku dochodził monotonny płacz dziecka, które jeszcze monotonniej usypiała niańka nieco chrapliwem „aaa... kotki dwa“...

— Więcej kartofli, a dużo skwarek! — huknął pan Piotr, podając talerz przycupniętej na kamiennych schodach werandy Marynce, zapatrzonej w ogród. Gdybyś tak, moja panno, zamiast marzyć, pomyślała o tem, żeby nakarmić swego rodziciela!

Marynka, wiotka i blada, jak wszystkie podloty, drzechodzące przez okres „marzeń“, wstała w milczeniu i ze swym sennym, trochę smutnym uśmiechem, odeszła do pokoi z talerzem w ręku.

— Zawsze w obłokach... — mruknął pan Piotr, spoglądając za córką. Nudzi się, czy co?

Pani Siewierska wzruszyła ramionami.

Przez chwilę słychać było tylko stuk łyżki o miskę i chłeptanie głośne pana Piotra, który spożywał swoją, niezwykłych rozmiarów porcję mleka.

— Pożyczą, czy nie pożyczą tę lokomobilę? — odezwała się wreszcie pani Siewierska, bujając na kolanach tłustego malca.

Pan Piotr machnął ręką.

— Nic z tego nie będzie — odparł z westchnieniem z nad talerza. Baba uwzięła się na nas, porobiła jakieś intrygi, czuję to przez skórę, naszczuła na mnie męża. On sam z siebie by dał. Oh! napewnoby dał! Znam go, dobry z niego chłop. Ale ona nie pozwoli.

Pani Siewierska przywtórowała skwapliwie:

— Ją to kole w oczy, że Marynka ma większe powodzenie od ich kwaśnej córki.

— A no, cóż? Muszę sobie dać radę bez lokomobili. Głowy sobie przecie nie urwę.

— Żebyś jeszcze spróbował raz posłać ekonoma?

Pan Piotr uderzył ręką w stół.

— Nie poślę!

— Spróbuj jednak. Musisz młócić. Pieniędzy niema, a z czego ratę Towarzystwa zapłacisz?

Pan Siewierski byłby znowu w sposób równie energiczny zaprotestował przeciw namowom żony, gdyby nie widok nowego talerza z kartoflami i skwarkami, z którego unosił się w górę wesoły obłok pary.

Począł zajadać chciwie.

— Proszę ojca, pachciarz przyszedł — odezwała się po chwili Marynka.

— Niech czeka!

— Mówi, że mu pilno z mlekiem na kolej, że się spóźni.

— Do stu tysięcy djabłów! zjeść mi nie dają! — huknął pan Siewierski. Wiem już co mi ten łajdak powie. Pewnie znów nie chce mi zapłacić!

— Nie! — zapewniła Marynka. To chodzi zdaje się o Marysię, której nie ma kto przy dójce zastąpić.

— No, to powiedz tam Wawrzynowej, żeby od jutra chodziła do obory.

I znowu zapanowało milczenie. Troska powszednia, która przychodziła niewiadomo skąd, rozpanoszyła się na werandzie, przytłoczyła dusze, nudę wlała do serc. Niewidzialny młyn obracał żarna codziennych trosk i niepokojów, wytrwale, jednostajnie.

W głębi ogrodu zachodziło pożarne słońce z purpurowym przepychem, ale nikt na nie nie pa-

trzał. Cisza, zaduma i poezja włóczyły się niewidzialne po ogrodzie, ale nikt ich nie widział. Wieczór wygrywał na gałęziach drzew swe ciche, żałosne melodje, ale nikt ich nie słyszał.

Wtem wrzawa głosów dziecięcych tuż za dworem, w zaroślach przeszyła spokojne powietrze. Ścieżką, wśród kasztanowych rozłożystych drzew, nadbiegało dwóch wyrostków, Jurek z Bolkiem, którzy gdzieś w głębi sadu wyprawiali swe harce przedwieczorne.

— Jakieś straszydło do nas jedzie! — wołał zadyszany Jurek.

— Już jest na moście! Na żydowskiej bryce jedzie prościuteńko do nas! — darł się Bolek, wyprzedzając brata.

Wbiegli obaj na werandę, krzycząc jeden przez drugiego. A tymczasem istotnie turkotała głucho jakaś bryka, którą za chwilę widać już było, migającą za sztachetami ogrodu, w perspektywie kasztanowej alei.

Jurek, Bolek, a za nimi mały ich sprzymierzeniec, Wacek, który zeskoczył z kolan matki, frunęli z werandy; pani Siewierska, rozciekawiona wyjrzała za nimi, objąwszy wpół Marynkę. Tylko panu Piotrowi najciężej rozstać się było z kartoflami, które kończył spożywać.

Zakreślając sakramentalne koło przed gankiem, ze zgrzytem jakiegoś ukrytego żelastwa, zajechała przed ganek roztrzęsiona bryka, którą powoził mały, kędzierzawy żydek, dzierżący w ręku z fantazją wielkie biczysko.

Z bryki tej, zaczepiając fałdami namarszczonej jak krynolina spódnicy o powykrzywiane stopnie, spuszczać się poczęła niezgrabnie leciwa jejmość w pelerynie staroświeckiej, w humorystycznym kapeluszu, uginającym się pod ciężarem nieprawdopodobnie wspaniałych piór i kwiatów.

W milczeniu weszła na schody werandy, nie zapraszana przez nikogo, z miłym i nieśmiałym uśmiechem przypatrująca się wszystkim po kolei członkom rodziny Siewierskich, począwszy od małego Wacka z palcem w buzi, a skończywszy na panu Piotrze, który nie ruszał się ze swego miejsca za stołem.

Pani Siewierska, powstrzymując się od uśmiechu, podsunęła jej krzesło, wykrztusiwszy „czem możemy pani służyć?“ Bolek z Jurkiem trącali się za plecami przybyłej, chichocząc zupełnie niedwuznacznie, a mały Wacek stanął tuż przed jej krzesłem, patrząc na kapelusz z niemym podziwem w swych okrągłych, nalanych jakby błękitną wodą oczach.

Dama dobyła z atłasowego „ridicule'a“ wachlarzyk w malowane czerwone róże i zasłoniła nim połowę twarzy przed natarczywym blaskiem słońca, które biło łuną zachodu przez gałęzie kasztanów.

— Przepraszam... bardzo przepraszam za ten najazd...—odezwała się wreszcie pokornie.—Wiem, że nie powinnam... że nie mam prawa... ale...

Wszyscy czekali z zaciekawieniem, co powie to niezwykłe indywiduum, zajeżdżające bez uprzedzenia wieczorem do nieznajomego dworu. Pan Piotr ze zniecierpliwieniem odsunął od siebie pusty talerz, a pani Siewierska walczyła między ochotą pobiegnięcia w głąb mieszkania, z którego rozlegał się głośniejszy płacz dziecka i głośniejsze „aaa... kotki dwa...“, a chęcią dowiedzenia się, jaki był cel tej niespodziewanej wizyty. Tylko Marynka patrzała z powagą i ze swym łagodnym uśmiechem, pełnym współczucia na dobroduszną, owianą jakby mgłą smutku twarz zażenowanej kobieciny.

— Państwo wybaczą... — rozpoczynała na nowo swe ekskuzy. — Długo wahałam się, czy mogę tu zajechać... Wreszcie zdecydowałam się... Proszę mi tego nie brać za złe... Godzinkę, pół godzinki zabawię... nie więcej... I nigdy mnie tu państwo więcej nie zobaczą...

Pan Piotr nie umiał już dłużej utrzymać na wodzy swego zniecierpliwienia:

— Czem możemy pani służyć?!—wrzasnął nad uchem przybyłej tak raptownie, że ta aż podskoczyła na swem krzesełku.

— Nazywam się panna Balba — zaszeptała wystraszona dama. Ach, więcej państwo o mnie wiedzieć nie potrzebujecie... Panna Balba... wystarczy...

I jak wyuczoną z góry na pamięć lekcję, której początku w pierwszym momencie przypomnieć sobie ani rusz nie mogła, wyrecytowała:

— Rodzice moi mieli Głaszków, gdy byłam młodą, ot taką, jak ta panienka — dodała, wskazując na zamyśloną Marynkę. — Sąsiadowaliśmy ze Staszewicami o miedzę... Staszewice należały wtedy do Kumlów, od których nabył je pański ojciec... Całą młodość spędziłam w Staszewickim parku... najlepsze moje lata... Chciałam raz jeszcze... nim oczy zamknę... tak o zmierzchu...

Przysłoniła twarz egzotycznym wachlarzykiem, może przed blaskiem gasnącego słonecznego złota, a może przed natarczywemi oczami, przypatrującemi się jej ze złośliwem zaciekawieniem.

— Chciałam się tylko przejść po parku... państwo pozwolą? — pytała pokornie, wstając. Pójdę w stronę świątynki... Wszak świątynka istnieje jeszcze?

Z ostatniem pytaniem zwróciła się mimowoli do Marynki, jakby instynktownie wyczuwając w niej sprzymierzeńca swego staropanieńskiego wybryku.

Nie czekając na odpowiedź, wychyliła głowę przez otwór w winie, okalającym ganek:

— Proszę poczekać! — zawołała w stronę bryki, która stała o parę kroków dalej. Za pół godziny będę wracać!

Poczem, raźnym krokiem zbiegła po kamiennych schodkach i w swej staroświeckiej pelerynie, w wymarszczonej spódnicy, nie wypuszczając z dłoni cudacznego wachlarzyka, w przekrzywionym kapeluszu, podreptała ścieżką wyżwirowaną w głąb ogrodu.

Pani Siewierska wzruszyła ramionami, Bolek i Jurek parsknęli już otwarcie śmiechem.

— A no! ma się czasem i takie wizyty — oświadczył rozweselony pan Piotr.

Poczem, spoglądając z uśmiechem za oddalającą się, narysował sobie palcem powoli kółko na czole.

— Marynka! Biegnij po pachciarza: Niech ten łotr zaraz tu przyjdzie!

A Marynka ze swym słodkim, dziewczęcym uśmiechem pocałowała ojca w policzek i rzekła cichutko:

— Dobrze, tato. A potem polecę za nią! Może nie trafi...

I jak koza, w swej kremowej sukience, skoczyła z werandy.

* * *

Zastała starowinę błąkającą się bezradnie po tej części staszewickiego ogrodu, którą nazywano szumnie — parkiem. Były to resztki jakiegoś istotnie przepięknego parku angielskiego, bo całe Staszewice, dziś dobrze zagospodarowany 25-o włókowy majątek, był niegdyś magnacką posiadłością, rozciągającą się na pięć folwarków, z olbrzymiemi, słynnemi na okolicę lasami.

Zostało z owych czasów w ogrodzie kilka starych, egzotycznych drzew, ręką książęcą sadzonych pono, jedna samotna ściana szpaleru, z której jak rozpaczliwe ręce, wybiegały gałęzie młodych grabów, nie skrępowane nożycami umiejętnego ogrodnika, i owa „świątynka“ — resztki po jakiejś budowli, która tu kiedyś stała w głębi parku — domek, altana, może kaplica, a może początek tego, co nigdy wzniesione być nie miało. Nikt nie znał historji tych romantycznych ruinek, ale krążyło o nich kilka poetycznych legend, które niezmiernie podobały się Marynce.

Reszta parku poszła pod kartofle, a właśnie teraz, pod jesień, przekopywano całą zachodnią jego część, zadrzewioną staremi, wyschłemi topolami nadwiślańskiemi, w której pani Siewierska pragnęła założyć dochodową szkółkę jabłonek i czereśni.

Ale zostało kilka pięknych, o gotyckiem iście sklepieniu alei, w których szumiały stare lipy, dęby i klony — mieszanina drzew ze sobą zgodnych, a nawet jakby spoufalonych. Stare, bardzo stare aleje, przechowujące w swych głębinach zielonych niejedną tajemnicę ludzi, drzew i ptaków, aleje pełne szmerów, w których zaklęte były słowa, niegdyś tu wyrzeczone, słowa, które byt wiekuisty znalazły w szeleście drzew...

— Znalazła pani świątynkę? — zagadnęła zamyśloną damę Marynka, ukazując się jej nagle wśród drzew, jak jasne, uśmiechnięte zjawisko.

— Ach, nie doszłam jeszcze... — odrzekła romantyczna dama — przeszłam tylko kilka razy tą lipową aleją, którą tak lubię... Nazywaliśmy ją „katedrą“ i, gdy byłam taka dorosła jak pani, marzyłam, że tu się odbędzie mój ślub, w tej gotyckiej nawie katedry...

Uśmiechnęła się gorzko.

— A no i odbył się tu mój ślub — z wiewiórką... — dodała po chwili.

Poczęła się śmiać, ale tak jakoś niedorzecznie, że Marynce zrobiło się aż przykro.

— Świątynka jest w tej stronie... — rzekła, wskazując ręką.

Ale dziwaczna kobiecina, zamyślona o sobie i o swoich sprawach, nie ruszała się z miejsca. Dwa komary spokojnie usiadły na jej nieruchomo splecionych rękach, trzeci krążył nad nosem. Marynka spostrzegła, że jest zupełnie niepotrzebną.

— Pani woli zostać samą? — zapytała nieśmiało ze swym łagodnym uśmiechem.

— Ach, nie! Niech pani jeszcze nie ucieka!

Patrzyła na dziewczę z głęboką wdzięcznością. Uścisnęła jej rękę.

— Widzi pani, to jest prawdziwa tragedja czuć, że się jest komiczną, a nie módz nie być komiczną. Więc jak się znajduje takiego człowieka, który i w nas człowieka widzi... — głos jej zadrżał — to taka wdzięczność... taka radość...

Z uniesieniem przesadnem mówiła dalej:

— Kocham ludzi, którzy się nie uśmiechają, gdy się do nich odzywam... Takich ludzi jest niewielu... I dlatego kocham ich bardzo... — dokończyła z pretensjonalnem westchnieniem. Dobrze, chodźmy do „świątynki“. Byłam pewna, że już nie istnieje....

Poszły.

Wróble, trznadle, wywielgi nad ich głowami zanosiły się od śpiewu. Ptak ptakowi, gałęź gałęzi przenosiły wieść o pannie Balbie, która tu kiedyś żyła, o pannie Balbie, co powróciła. Przynajmniej tak się starej pannie zdawało. Gąszcz drzew, dziko rosnących szumiał jak las głęboki, pełen czarów i dziwów, jak puszcza, której nie masz kresów. A jednak tuż, o parę zaledwie kroków, przerzedzały się drzewa i widać było łąki, chaty wiejskie i ogromne na polach sterty, ciemne na tle jasności zorzy, która gasła.

W tej rzadszej, mniej zadrzewionej części parku wznosiła się zapadająca w ziemię, odkrywająca różowe rany po odpadłych cegłach owa ściana ruinek, nazywana pompatycznie „świątynką“. Była to tylko jedna ściana, z zarysami dwóch okien, których górna część się rozpadła i które znaczyły się już tylko lekkiemi wgłębieniami w boleśnie poranionej motyką czasu budowli.

Panna Balba przystanęła, nic nie mówiąc. Ale tak przystają zwykle nabożnisie przed wielkim ołtarzem, zanim nie padną na oba kolana, całą duszą wołając do Boga. Bezwiednie przeżegnała się, a potem obejrzała się ze strachem na Marynkę, lękając się ujrzeć na jej twarzy uśmiech, ukrywany pośpiesznie.

Ale Marynka była poważna. Pochylona, rwała paprocie strzępiaste, które rosły całemi kępami na podłożu świerków i sosen.

W tej części ogrodu szumiały iglaste drzewa, choć gdzieniegdzie stary, uroczysty wznosił się dąb, a tuż obok ruinek cudna białopienna brzoza, niby smukła westalka godzin, które tu kiedyś dzwoniły szczęściem, zarzucała na nie swe opadające aż do ziemi gałęzie, okryte szeleszczącem listowiem, jak długie wiotkie bandaże, które okryć miały niezgojone rany.

Panna Balba z nadspodziewaną zręcznością, jakby to czyniła codzień i nie dalej jak wczoraj, wdrapała się na szczerbatą ścianę i usadowiła w jednem z „okien“ świątynki. Ze spuszczonemi, odsłoniętemi nogami, na których w fałdach fantastycznych opadły popielate pończochy, zacerowane w kilku miejscach ciemniejszą bawełną, pochylona naprzód, z głową wtłoczoną w ręce, które oparła na nieestetycznie rozstawionych kolanach, zamyśliła się głęboko.

Cichy szmer rzeczki, płynącej tuż za sztachetami ogrodu, niewidzialnej pod osłoną olch i trzcin nawodnych, sennym akordem mącił przedwieczorną zadumę świata. Gdzieś, we wsi, szczekały psy i nawoływały się dzieci. W stawiskach za ogrodem chrapliwie zwierzały się żaby gardłami, w których bulgotała sennie woda. Ale wszystkie te głosy i dźwięki wchodziły w skład ciszy przedwieczornej, głębokiej i tajemniczej, jak życie, i tak jak ono dobrotliwej i smutnej.

Panna Balba westchnęła.

— Szkoda, że dziś niema księżyca...

A po chwili, ciszej:

— Byłoby zupełnie tak, jak wtedy...

Marynka podniosła jasnowłosą głowę z nad paproci i spojrzała uważnie na rozegzaltowaną starą pannę. „Wtedy“... łatwo się było domyśleć, że ten wyraz był skrótem jakiegoś erotycznego wspomnienia, był kluczem tajemniczym, otwierającym wrota nieodżałowanej przeszłości...

Jakaż była przeszłość panny Balby, tu, w staszewickim ogrodzie, na tle romantycznych ruinek? Jakież mogły być przeżycia tej małej, zawiędłej osoby, która w pozie dziewczynki, z rozkołysanemi nogami, wachlując się nerwowo małym, śmiesznym wachlarzykiem, siedziała wysoko na cegłach, skupiona i poważna?

Marynka poskromiła swą ciekawość...

Utkana jakby z samej jasności, z samej przędzy wiosny, złotowłosa i różowa, lękała się bezwiednie mroków i samotności. A przeczuwała swem sercem kobiecem, że w duszy panny Balby, która w cieple staszewickiego powietrza — powietrza wspomnień, rozchylała się powoli, panuje taki właśnie mrok i taka samotność.

Więc zatrzymała się z pytaniem na ustach.

Ale panna Balba zapragnęła mówić o tem, co w miejscu tem kiedyś przeżyła, i co tu zostało, aby powitać ją w szeleście drzew, w woni paproci, w szmerze rzeczki. Z wyżyn zapadającej się ruinki, cichy, lękliwy rozległ się jej głos:

— Jeden taki wieczór... jedyny wieczór... Ciepłe były jego usta i pachniały poziomkami, które rwaliśmy razem... Miały nawet słodycz tych poziomek...

Urwała.

— Od tego czasu nie jestem w stanie jeść poziomek—oświadczyła po cichu, z pewnem zażenowaniem—i zapatrzyła się w mech u swoich stóp, jakby wśród tych przedwczesnych jesiennych liści, które stały się żółtemi plamami na miękkiej zieleni, szukać chciała jeszcze śladów jagód różowych i wonnych, które tu kiedyś rosły. Wprost nie lubię poziomek! Czuję zawrót głowy i jakąś niemoc w sobie, gdy je widzę... Jakie to dziwne, prawda?

Marynka nie potwierdziła, że to jest dziwne. Owszem, wszystko o czem mówiła pretensjonalna dama, wydawało jej się zrozumiałe, jasne a nawet—piękne. Tego samego uczucia doświadczała zawsze, gdy, wyrwawszy się z zajęć przy centryfudzie, drobiu lub wieprzkach, biegła w las, by posłuchać szumu drzew i wody. Drzewa i woda z takim samym smutkiem i zadumą mówiły o sobie, jak panna Balba.

— Pani była z nim zaręczona, z tym młodym Kumlem? — zapytała z iście kobiecą ciekawością, chwytając wargami jakiś liść zielony z gałązki, którą urwała z drzewa.

— Oh, nie! — wykrzyknęła panna Balba. I może dlatego było to takie piękne, że nie dokończone... Było zaledwie zaczęte...

— Czyż kończą kiedy swą smutną pieśń i drzewa i fale rzeki? — pomyślała Marynka. Wieczną jest ich pieśń!..

— I... całował panią?..

— Raz tylko... — wyszeptała panna Balba, rumieniąc się jak dziewczę. Umiem na pamięć wszystkie wyrazy, które do mnie tego wieczoru powiedział. Najprzód powiedział: *„ty moja“*... a potem *„bez ciebie byłoby źle“*. A przedtem był pocałunek. Wreszcie: *„mylisz się, dziecino droga“*.

Liczyła na palcach.

— *Ty moja...*

— *Bez ciebie byłoby źle...*

— *Mylisz się, dziecino droga.:.*

Pokiwała głową i westchnęła.

— Tak, to już wszystko, co wtedy powiedział. Widzi pani, temi wyrazami żyłam. Żyłam nimi tyle lat! To był mój pokarm, te słowa. Żywiłam się nimi, jak chlebem, gasiłam nimi pragnienie, jak wodą. Przyszła starość. I słowa te, razem z moimi włosami, z mojem ciałem i z mojemi oczami—powiędły, wypełzły. Już nie mają tej siły i tego zapachu, co dawniej. Za często je powtarzałam. Więc postanowiłam tu wrócić, w te same miejsca... Może przypomnę sobie coś więcej... odżywię się... Miejsca, w których coś się przeżyło, tak zazdrośnie przechowują w sobie pamięć tych przeżyć naszych...

Zapatrzyła się w świerk rozłożysty opodal rosnący, który i wtedy szumiał, gdy była młodą i kochaną — i oczami, w zamyśleniu, zdejmowała z zielonych wiecznie gałęzi niby słodkie owoce: słowa niegdyś tu wyrzeczone, słowa, które tu zostały, aby dojrzeć, gdy ona wróci po nie, po latach.

— Zdaje się, że powiedział jeszcze: *„nie drżyj tak... jestem z tobą“*, czy też coś podobnego... Ale ręczyć za to nie mogę...—odezwała się wreszcie w zamyśleniu.—Byłam wtedy jak w śnie...

* * *

...Powracały wolno ku dworkowi, który bielał wśród zieleni, zaciemniającej się mrokiem, jak wielki, rozkwitnięty kwiat.

W powietrzu była cisza jeszcze głębsza, jeszcze lękliwsza.

Lekkiemi stopy, od pól, na których czuwały ciemne sterty i samotne grusze, nadchodziła noc, sennemi oczami sprawdzając, czy ptaki i kwiaty układają się już do snu. Wszystko w pokorze spowiadało się jej — tej nocy smętnej i dobrej, z krzywd i bólów, które uczynił Dzień swem światłem bezwzględnem. Żałosne były oddechy liści, poruszanych wiatrem, i szelest żwiru pod stopami idących.

Marynka wsunęła lewą rękę pod ramię panny Balby, a prawą zasłaniała jej słabe, łzawiejące oczy małym, śmiesznym jej wachlarzykiem pod blaskiem zachodu.

Szły, gawędząc, jak dobre stare przyjaciółki, które nareszcie mogą sobie wyjawić wszystko to, co wzburzyło spokojną toń ich dusz.

Ptaki sfruwały ze ścieżki za szelestem ich sukien, a wielkie różowo-niebieskie hortensje, któremi wysadzone były brzegi trawnika, pochylały sennie swe ciężkie głowy przed nocą. Pełen szmerów i rozmów był stary, staszewicki park, który zdawał się być uroczystszy, bardziej tajemniczy na przyjęcie panny Balby.

— Już siódma! — przeraziła się stara panna. Tyle czasu sobą zajęłam. Na pociąg spóźnić się mogę.

Przyśpieszyła kroku, ale wtem przystanęła, bacznie przyglądając się pięknemu samotnemu okazowi amerykańskiej sosny, która zdawała się dziko rosnąć na środku trawnika, wiotkie, zgrabne ramiona wyciągając do innych drzew, a może do jakiej wizji zielonej.

— Wiewiórka... — zaszeptała z rozrzewnieniem, śledząc rude, ślizgające się na pniu zwierzątko. Może wnuczka tamtych, które wtedy tu żyły w tych drzewach?..

Chwilę stała w zadumie, a potem pędem prawie, pociągając za sobą Marynkę, puściła się ku werandzie, na której płonęła już lampa, postawiona na środku stołu.

— Żegnam państwa... żegnam... — mówiła zadyszana, dygając na prawo i lewo ze spuszczonemi oczami. Jeszcze raz przepraszam... bardzo przepraszam...

Uścisnęła rękę Marynki, chłodniej, niż dziewczę się tego spodziewało, po wynurzeniach w parku. Była przejęta sobą, swym odjazdem. Milczenie, w którem taiło się tyle złośliwych i bolesnych uśmiechów, onieśmielało ją.

Niezgrabnie, upuszczając z rąk to „ridicule“, to wachlarzyk i zaczepiając suknią fałdzistą o szczerbate stopnie bryki, poczęła się na nowo na nią gramolić, postękując i sapiąc.

Wreszcie, usadowiona na szerokiem, zapadniętem w środku siedzeniu, w swym przekrzywionym cudacznym kapeluszu, nie patrząc na Marynkę, pokłoniła się wszystkim zebranym na werandzie i, przeżegnawszy się, kazała odjeżdżać.

Bryczka zatrzeszczała na żwirze, klekocząc wyschłemi szprychami, i wjechała na kamienny bruk drogi wiejskiej. Turkocząc coraz ciszej, mignęła raz jeszcze za sztachetami ogrodu, w perspektywie kasztanowej alei.

Pani Siewierska przeżegnała się z wesołym śmiechem.

— Ale też dziwadło! — oświadczyła.

— Bzik! — dodał pobłażliwie pan Piotr. Nasza kochana sąsiadka tak samo kiedyś skończy. A będzie

to kara za tę lokomobilę, której nam nie chce pożyczyć. Na świecie jest przecież jakaś sprawiedliwość!

Kwestja lokomobili, która go gryzła nie na żarty, przedstawiła się znowu w całej swej grozie. Popłynęła ożywiona dyskusja na ten temat, pełna pasji i zawiści. A potem mówiono o pachciarzu, który nieregularnie płaci za mleko, o chorej Marysi, do której trzeba sprowadzić lekarza, o oddaniu Jurka i Bolka do szkół, o niańce Helusi, która ma romans z ekonomem, o deszczach i nieurodzajach.

Młyn powszedni obracał niestrudzenie i jednostajnie żarna codziennych trosk i niepokojów, ciężkich i ciemnych, jak ziemia. Obracał je — te żarna powszednie — tak samo, jak to czynił wczoraj, jak to czynić będzie jutro. I słońce tak samo gasło za drzewami w swej świetnej purpurze — słońce, którego nikt nie widział.

Bolek z Jurkiem, dygając przesadnie, naśladowali cudacznego gościa i coraz to wybuchali głośnym, wrzaskliwym śmiechem.

Mały Wacek wylizywał palcem resztki śmietany z ojcowego talerza, całą swoją umorusaną na biało buzią wyrażając zadowolenie, że mu nikt nie przeszkadza w tej nader miłej czynności.

Z głębi mieszkania dochodziła monotonna piosenka niańki „aaa... kotki dwa...“ nad kołyską uśpionej Helusi.

...A Marynka, przycupnięta na kamiennych schodach werandy, poważna i smutna, wsłuchiwała się w daleki turkot rozklekotanej żydowskiej bryki, jak w melodję, pełną smętku i poezji, która na chwilę wypełniła ogród staszewicki swym czarem, a teraz, powoli przechodziła w szum drzew, w zadumę kwiatów, w wieczorną skargę ptactwa, w ciszę pachnącego sadu, w smętne wycie psów we wsi — i rozwiewała się w zadumanem powietrzu...

Zuzanna Rabska.

Nowości wydawnicze.

Józef Weyssenhoff: *Gromada.* Powieść. Nakład Geb. i Wolffa. Warszawa.

Stefan Barszczewski: *Czerwony Mesyasz.* Ze wspomnień włóczęgi. Nakład Geb. i Wolffa. Warszawa.

Emilja Wielowieyska: *Ku jutrzni.* Powieść współczesna, wyróżniona na konkursie „Bluszczu". Nakład Geb. i Wolffa. Warszawa.

Helena Filochowska: *Kobieta w masce.* Nowele. Nakładem Księgarni Leona Idzikowskiego. 1914.

D-r Tadeusz Szydłowski: *Wit Stwosz* w świetle badań naukowych i pseudonaukowych. Z ilustracjami. Nakł. „Przeglądu Polskiego“. Skład główny w księg. Gebethnera i S-ki. 1913.

J. Bróg: *Kwestja polska.* Warszawa. Skład główny w księg. M. Arcta. 1913.

Jana Kochanowskiego *Pisma polskie wybrane.* (Wendego Bibljoteka Klasyków Polskich). W Warszawie. E. Wende i S-ka. 1914.

Tadeusz Sternstein Helcel: *Podręcznik dla rolników - praktyków.* Nakł. księg. Leona Idzikowskiego. Kijów—Warszawa. 1914.

Z czasopism.

Ukazał się tom I „Popularnej Biblioteki Historycznej“, wychodzącej w formie wydawnictwa tygodniowego pod red. Antoniego Orłowskiego w Warszawie, i zawiera: *Państwo Polskie w wieku XIII.* Opowieść historyczna. Z rękopiśmiennych notatek nieznanego autora opracował Aleksander Kraushar. Rzecz opracowana w sposób żywy i przystępny, zaleca się, jako pożyteczna i przyjemna lektura. Nizka cena zeszytu (15 kop.) powinna się też przyczynić do rozpowszechnienia nowego wydawnictwa.

Nakładem ruchliwego i zasobnego *Antykwarjatu Polskiego w Warszawie Hieronima Wildera i S-ki* wyszły w dalszym ciągu katalogi Nr 16 i 17. Pierwszy, *Nowoczesna Grafika Polska* odda ważne usługi coraz liczniejszym u nas miłośnikom grafiki polskiej, zawiera bowiem 452 numery z opisem wyczerpującym i ceną. Poza tem katalog zdobi szereg dobrych reprodukcji wybitniejszych dzieł, wymienionych w katalogu.

Katalog Nr 17, *Bibliotheca-Historico-Polonica,* obejmuje aż 1804 numery rzadkich dzieł z zakresu historji i dziejów kultury w Polsce, w różnych językach wydanych, z przewagą prac, ogłoszonych po polsku.

Rzut oka na ubiegłe sezony wyścigowe.

Mówiono jeszcze niedawno w kołach sportowych: „jeżeli da się przeciwdziałać jednej, olbrzymiej stajni dominującej od szeregu lat, to się współzawodnictwo zaraz ożywi, będzie jakoś lżej oddychać“. Tymczasem obok dominującej stajni wyrosła inna potężna, oparta na bardzo silnym pieniężnym podkładzie.

Dla tych co są obeznani z wyścigami byłoby niepotrzebne wymienianie nawet nazwisk właścicieli stajen i — że mamy na myśli stajnie E. i M. Łazarewów i L. Mantaszewa.

I rzecz szczególna, conto stajni E. i M. Łazarewów nie tylko w r. z. nie obniżyło się ale przeciwnie, jeszcze urosło i, popierając te słowa cyframi, widzimy że w r. 1911 potężna stajnia wygrała, 318,089 rb. w r. 1912 — 315,463 rb., a r. z. 371,547. Tak olbrzymią cyfrę zawdzięczać mogą E. M. Łazarewowie przedewszystkiem 3 l. Demosthenes'owi, który wygrał 71244, następnie 3 l. Serenadzie — 19838. 3 l. Bułatowi — 14013, 6 l. Dariałowi — 11166, no — i liczbie koni, stanęło ich albowiem w szrankach 96. Podwyższenie nagród też przyczyniło się do podwyższenia ogólnej sumy wygranych.



„Demosthenes“ p. Łazarewa. (Fot. Saryusz-Wolski).

Jednak, pomimo tak świetnego rezultatu położenie dominującej stajni do pewnego stopnia zmieniło się, jej kierownicy czują dobrze, że obok samego wielkiego bogactwa nowej stajni, nabiera też ona coraz więcej sił, rozmachu.

W r. 1911, jak zaznaczałem, E. i M. Łazarewowie wygrali 318,089 rb., a stajnia zajmująca drugie miejsce pp. D. Wedernikowa i K. Piechowskiego wygrała tylko 43,211 rb. — odskok zatem olbrzymi. W r. 1912 odskok się już trochę zmniejsza, conto dominującej stajni wynosi 315,463 rb. a L. Mantaszewa 84,742 rb. a w r. z. cyfry z jednej i drugiej strony są tu bardzo pokaźne: conto dominującej stajni powyżej było przytoczone a conto L. Mantaszewa wynosi 255,602 rb. Tej *różnicy* podniesienie się sumy wygranych stajni E. i M. Łazarewów nie wyrówna. Wyrósł, niema się co łudzić, konkurent silny, potężny, i zastępy końskie dzięki olbrzymim kapitałom mogą być wciąż łatwo odnawiane.

Jeżeli pozwolę sobie, dla uzmysłowienia stanu rzeczy na przykład historyczny, to jakież znaczenie w początkach z. w. po 1806 r., po Jenie miały Prusy, gdy królowa Ludwika błagała Napoleona o polityczne życie, a w kilkadziesiąt lat później te same Prusy zmiażdżyły Francję pod Sedanem, zabierając jej większą część armji do niewoli.

Tylko na przeobrażenia historyczne trzeba czasami długich wieków, czasami kilkudziesięciu lat, na polu wyścigowem zaś dzieje się to znacznie prędzej, szczególniej gdy można nie liczyć się z pieniędzmi, gdy sypie się je jak z rękawa. Wówczas początkujący albo odrazu wywraca koziołka, albo cieszy się uśmiechem fortuny; c'est la chance — jak mawiają — du debutant.

Projekt vice-prezesa Cesarskiego Towarzystwa

Wyśc. Kon. w Królestwie Polskiem, p. F. Jurjewicza o dopuszczeniu bez nadwagi zagranicznych klaczy, sprowadzonych roczniakami do kraju — który to projekt wszedł w życie — o ile wiemy, dążył przede-



„Wiochna" A. hr. Morstina, wybitna klacz w wyścigach z przeszkodami.
(Fotografje na str. 30, 31 i 32 wykonał Saryusz-Wolski)

wszystkiem do pewnego wzmocnienia, odnowienia bojowego materjału polskich stajen a rykoszetem dopomógł bardzo do rozrostu nowej stajni. Wygrane swej stajni p. L. Mantaszew zawdzięcza w 1913 r. głównie koniom zagranicznym, które już ją rok przedtem podpierały.

Z 69 koni ze wzmiankowanej stajni, które stanęły u startu 553 razy, 3 l. zagraniczna Balise wygrywa 15,066 rb., 2 l. Easter Giff 6,033 rb., 3 l. Princess Magdalen 16,350 rb., 2 l. L'Annonciade 2,321 rb., 2 l. Garde-feu (chociaż nie miał obniżenia wagi) 11.433 rb. i t. p. Z koni krajowych w tej dużej młodej stajni wyróżnił się wybitnie tylko 4 l. Grymża (39,662).

Pomimo tak poważnego i rozrastającego się konkurenta, stajnia E. i M. Łazarewów na rok przyszły może jeszcze spoglądać z pewnym spokojem — konie zagraniczne są wykluczone z Produce'ów, Derby i Oaksów, Nagrody Najjaśniejszej Pani, a stajnia do tej pory dominująca opiera swe siły przedewszystkiem na krajowym, a nie zagranicznym materjale, choć posiada też bardzo obiecującą źrebicę zagraniczną „Irish Lass". Bardziej odległa przyszłość przedstawia się jednak w ciemniejszych barwach. Pan L. Mantaszew kupuje nie tylko młodzież ale i klacze stadne, nabyte zaś młode klacze będą stopniowo włączone do stada i w ten sposób wytworzy się siła imponująca. Zatem do starcia „na śmierć i życie" między temi dwoma stajniami, wcześniej czy później dojść musi i w tem starciu spoczywa tragizm, jedna z nich conajmniej wyjdzie okaleczona.

Trzecie miejsce na liście wygranych w r. 1913 zajmuje stajnia również młoda, I. Mantaszewa, wygrywająca 21 końmi, stojącymi u startu 188 razy, 97344 rb. Stajni tej najlepiej zasłużył się 3 l. „Kiraj" po „Quo Vadis", który wygrał 35,406 rb., „fenomenalny" w wieku dwuch lat, „Brave Boy" po „Palmiste", zawiódł w wieku trzech lat: wygrał tylko 11,761 rb.

Oto stajnie trzymające batutę, nadające — że się tak wyrażę — *ton* wyścigom w roku zeszłym.

A polskie stajnie? — spytacie. Zajęły zaledwie bardzo średnie lub podrzędne stanowiska; stosunkowo najwyższe miejsce zajęła stajnia pp. F. Jurjewicza i A. hr. Wielopolskiego, wygrywając 38,759 rb., stajnia p. M. Bersona wygrała 30,869 rb., Spółki Warszawskiej 21,043 rb., pp. E. i S. Białobłockich 10,138 rb.; stajnia zaś ks. W. Lubomirskiego odznaczała się za granicą.

Tak się przedstawia dorobek polskich stajen, oprócz kilku jeszcze mniejszych, dorobek zaiste bardzo skromny, wykazujący plastycznie, jak zostaliśmy zepchnięci z dawnych stanowisk. Wprawdzie coraz większy upadek polskich stajen nie jest faktem zupełnie niespodziewanym, niemoc ta trwa już od dłuższego przeciągu czasu. Wpłynęły na nią różne, rzeczywiście fatalne okoliczności, jak śmierć najwybitniejszych naszych hodowców, spadająca jak grom jedna po drugiej, a mianowicie: L. hr. Krasińskiego, W. Mysyrowicza, I. U. Niemcewicza, L. Grabowskiego, który jedynie dożył ósmego krzyżyka, wszyscy zaś inni wymienieni tu hodowcy zmarli w średnim lub zaledwie podżyłym wieku, zmarli przedwcześnie.



„Sulika" pp. T. Jurjewicza i A. hr. Wielopolskiego.

W dodatku stajnia tak pomyślnie rozwijająca się jak p. H. Blocha, z powodów finansowych musiała być zwinięta; stajnia M. hr. Zamoyskiego została zamknięta z powodu zniechęcenia się właściciela do wyścigowego sportu. Stajnia S. Sonenberga przestała istnieć z powodów ekonomicznych — wreszcie stajnia ks. Lubomirskich, wskutek rozdziału na dwie części i zachowania najlepszego materjału dla zagranicy, zeszła u nas z zajmowanego przedtem stanowiska.

Oto powody upadku polskich stajen — starszej generacji hodowców sportsmanów zabrakło, a młodszej nie stało i berło supremacji na polu hodowli koni pełnej krwi wytrącono nam z rąk; czy je ponownie zdołamy uchwycić, jest bardzo wątpliwe i wymagałoby szerszego zamiłowania pracy, dużego nakładu i *umiejętnie* użytych pieniędzy.

A jak to wszystko poszło tempem przyspieszonem! Jeszcze w 1902 r., czyli *przed 12 laty*, pierwsze miejsce na liście wygranych zajmowała stajnia p. H. Blocha (jej conto wynosiło 171,133 rb.), drugie dopiero miejsce zajmowała stajnia p. M. Łazarewa z sumą 128,118 rb. (wojująca przeważnie końmi nabytymi w Krasnem). Na trzeciem miejscu widzimy stajnię moskiewską S. Michajłowskiego i S-ki z sumą 109,303 rb., a na czwartem, z bardzo małą różnicą, stajnię L. Grabowskiego — 102,242 rb., na piątem stajnię I. Reszkego — 79,746 rb., na szóstem M. hr. Zamoyskiego — 66,748 rb.

Taki rozdział nagród jest normalny i świadczy, jak poważną rolę jeszcze przed dwunastu laty odgrywały polskie stajnie, jak się z nami liczono. Wydaje się prawie snem stan rzeczy dawniejszy, a gorączkową *zmorą* — obecny. Niestety — łatwo utracić jakiekolwiek stanowisko, ale daleko trudniej je odzyskać, nawet przy olbrzymich wysiłkach energji.



„Alaric-Victor" p. Bersona.

Dziś mamy jeszcze sportsmanów, ale bardzo mało hodowców na szerszą skalę, w dodatku cały



„Kapral" p. S. Niemojewskiego,
niezwyciężony w wyścigach z przeszkodami i w biegach myśliwskich.

materjał, u nas wyprodukowany, bywa sprzedawany i przechodzi, z małymi wyjątkami, do Cesarstwa. Sytuacja smutna ale jasna. Wina upadku naszej hodowli pełnej krwi spoczywa w znacznej mierze w fatalizmie ale i w braku zamiłowania naszej młodszej generacji do hodowli i do koni. Młodzi ludzie wolą dziś jeździć samojazdami, chociaż są kosztowne, (za cenę samochodu można kupić dobrego ogiera lub kilka klaczy) i czasami przyczyniają się do skręcenia karku, ale nie ma się z niemi kłopotu — tak się przynajmniej twierdzi, że nie chcę wspominać o szoferze, o pękających gumach, sprężynach i t. p.

Rok 1903 już jest przełomowym dla naszych stajen i rozpoczyna serję stałego powodzenia stajni Łazarewa, która w tym roku wygrywa 270,000 rb. Stajnia pp. Michajłowskiego i Mamantowa wygrywa 118,000 rb., a p. Blocha już tylko 86,241 rb., ks. Lubomirskich 66,521 rb. Od tego roku idzie coraz gorzej, a stajnia sernicka, po śmierci ś. p. L. Grabowskiego, przypadłej w 1902 r., zostaje zwinięta.

A teraz słów parę o dzisiejszych programach wyścigowych i owych niczem nie uzasadnionych napaściach na „protekcję braków". Przedewszystkiem nasz program wyścigowy zasadniczo nie różni się od programu Towarzystwa Carskosielskiego i Moskiewskiego. W programie Carskosielskim znajdujemy nawet większe uwzględnienie dla koni małej klasy, że się tak o nich wyrażę. Wszak te konie,



„Princess-Magdalen" p. Mantaszewa.

które w Warszawie nie mogą nic wygrać, wygrywają na torze kołomiaskim. Zapatrując się na tę kwestję szerzej, wobec nadzwyczajnej nierówności stajen, gdyby tylko czołowe stajnie, właściwie tylko między sobą mogły współzawodniczyć, a do ich wyszczególnienia nie potrzeba nawet używać wszystkich palców jednej ręki — wyścigi musiałyby się *skończyć*, bo nie byłoby środków do wypłacania nagród.

Najwyższe nagrody są przeznaczone dla najlepszych koni bez żadnych ograniczeń, średnie dla średnich, a małe dla podtrzymania małych stajen, podtrzymujących znów małe stada i sport wyłącznie gentlemański. System ten nie może być identyczny z zagranicznym, gdyż w każdym kraju są specjalne warunki, które należy wyzyskać i utrzymać ale wszędzie są wyścigi rozdzielane na kategorje i same tylko czołowe konie nie mogą być nagradzane, bo cała maszyna wyścigowa stanęłaby. Gdybyśmy mieli specjalne tory przeszkodowe i gentlemańskie, wówczas część koni byłaby na nie skierowana, ale tego rodzaju torów na większą skalę do tej pory jeszcze nie mamy. Tory prowincjonalne, pomimo, że się potrochu rozwijają, nie mogą się oprzeć na samych wyścigach z przeszkodami, gdyż u nas, a nawet w Cesarstwie koni tego rodzaju jest za mało. Nasze tory prowincjonalne opierały się dawniej tylko na koniach półkrwi. Jednak stad wysokiej półkrwi jest w Polsce mało, konkurencja zatem nie rozrastała się, a zmniejszyła i wyrodził się monopolizm jednej stajni. Aby ożywić współzawodnictwo, trzeba było rozszerzyć warunki programów, to też dopuszczono w znacznie większym procencie konie pełnej krwi, utworzono nawet wyścigi dla dwuletniej młodzieży. Wyścigi te jednak — pozwalam sobie tuszyć — pozostaną tylko jako *próby*, nie będą się powiększały i na torach prowincjonalnych nie mogą zajmować stanowiska już renumeracyjnego. Tory prowincjonalne rozwijały się pod godłem „siła i wytrzymałość" — niechaj im to godło i nadal przyświeca.

Nasze wyścigi prowincjonalne przy coraz trudniejszej konkurencji w Warszawie, przy coraz większem skupieniu się koni, powinny służyć do skromnej renumeracji dla małych stajen — nie mówiąc o wyłącznych stajniach, złożonych z koni półkrwi — te tory powinny zostać szkołą, zachętą dla młodych jeźdźców. A do Piotrkowa, Radomia, Łodzi przyłączyły się i sympatyczne „Koła sportowe", jak Pułtuskie i Bugajskie. Na tych torach odnajduje się szczery, zdrowy animusz — tu cyfry nadzwyczaj maleją, bo nagrody są minimalne. Na torach prowincjonalnych wogóle nasze polskie stajnie walczą do tej pory między sobą i przypominają tem owe dawne czasy, gdy nagrody dzieliły się między Krasińskich, Grabowskich, Niemcewiczów, Potockich, Mysyrowiczów i t. p., tak się do roku bieżącego dzieliły między Radziwiłłów, Niemojewskich, Wielopolskich, Kosińskich, Wężyków, Wotowskich i t. d.

W roku bieżącym zawiązała się w Łodzi spółkowa stajnia, pod nazwą „Ruda", złożona z miejscowych żywiołów, co jeszcze bardziej ożywi konkurencję.

Starałem się w niniejszem studjum wykazać trzeźwo, jaki jest stan naszych stajen i wyścigów. Z jednej strony wyścigi, jako wyścigi nadzwyczaj się ożywiły, mieliśmy w jesieni 1913 r. w Warszawie przeszło 300 koni, z drugiej zaś strony stajnie nasze są przygniecione przez olbrzymie dwie stajnie i chyba, że w której z polskich stajen pojawi się jaki nadzwyczajny koń, fenomen w swoim rodzaju, aby walka mogła stać się możliwą. Pomimo tego stanu rzeczy jednak nadziei tracić nie należy, trzeba walczyći te stajnie przedewszystkiem zasługują na uwagę, które starają się wzmocnić, zasilić i energicznie idą naprzód.

Stanisław Wotowski.

OD REDAKCJI. Nieraz otrzymujemy zapytania od naszych Sz. Czytelników, jakiego rodzaju fotografje są dla nas najbardziej pożądane. Najwyraźniejszą odpowiedzią na to są ilustracje w zeszytach „Wsi i Dworu", gdzie czytelnik znajduje zamki, pałace, dwory, chaty, widoki, typy, rodzajowe obrazki życia i pracy na wsi, zabytki miejskie, sarkofagi, pamiątki, dalej fotografje z polowań, turystyki, wyścigów i wszelkich zapasów sportowych, wystaw oraz aktualności bardziej obchodzących nasz ogół. Fotografje winny być wyraźne, niezbyt małe i artystycznie wykonane.

KRONIKA SPORTOWA.

Z torów i hodowli wyścigowej.

☐ Towarzystwo Wyścigów Konnych powiększyło wielką nagrodę warszawską międzynarodową do sumy 25.000 rb. Nagroda przeznaczona jest dla koni 3-letnich wszystkich krajów z warunkiem, że konie należeć będą do właścicieli krajowych.

☐ Konie p. Tadeusza Dachowskiego wygrały w r. b. na torach austro-węgierskich 9 nagród na sumę 15.190 koron. Konie p. Ułaszyna 4 na 10.190 k.; p. Łukasiewicza 8 na kor. 11.140; p. Ostoja-Ostaszewskiego 20 na 32.800 k.; p. Zangena z Krakowa 35 na sumę 71.350 k.

☐ „Łom" ks. Lubomirskiego wykazał najlepszy rekord tegoroczny na dyst. 2100 m. na torach niemieckich, gdyż w Hamburgu wygrał nagrodę jubileuszową 2.100 m. w 2 m. 14.8 s., podczas gdy w r. z. rekord wynosił 2 m. 18.2 s.

☐ Na przetargach w Newmarket p. Kazimierz Stolpe kupił dwa ogiery pełnej krwi dla warszawskiej Sekcji hodowli koni.

Lotnictwo.

☐ Liga narodowa żeglugi napowietrznej we Francji przygotowuje lot, pod względem długości i niebezpieczeństw nie notowany dotychczas w kronice lotnictwa, mianowicie — aeroplanem z Paryża do... Przylądka Dobrej Nadziei, co wyniesie 10.000 kilometrów! Wykonanie tego przedsięwzięcia powierzono słynnemu lotnikowi Vedrinesowi, który w tym czasie tak świetnie odbył drogę powietrzną do Kairu. Vedrines entuzjastycznie przyjął propozycję ligi i rozpoczął przygotowania do podróży.

☐ Słynny Pegoud wykonywał w tych dniach swe karkołom powietrzne wycieczki głową na dół z pasażerem p. Gauymon, redaktorem tygodnika „Auto". Ale nie dość na tem, mamy do zanotowania i nazwisko niewieście, które zapisało się już w kronice tych akrobatycznych wzlotów. Oto panna Gauymon, siostra redaktora, odbyła z Pegoudem podobną karkołomną wycieczkę i bardzo zadowolona opowiadała potem ciekawym wrażenia ze swej „jazdy". Panna Gauymon musi jednak podzielić laury z drugą odważną lotniczką, panią Davis, która, wzleciawszy z pilotem Hamelem, dokonała w powietrzu podobnych obrotów.

☐ Głośny lotnik Wright wynalazł nowy aparat lotniczy, zaopatrzony w nowy automatyczny stabilizator. Próby wypadły znakomicie.

☐ W dobrach Albertyn w pow. słonimskim, gub. grodzieńskiej, wylądowali dwaj aeronauci francuscy p.p. Dormont, przemysłowiec w zakresie samolotów i Le Prince, redaktor dziennika *Journal D'Etampes*, którzy balonem wzbili się pod Paryżem, nie przypuszczając że aż tak daleko wylądują.

☐ Redaktorka tureckiego czasopisma „Kadinlar Duniassi", Balkes Szewket Hanum odbyła na aparacie „Osmandi" lot jednogodzinny ponad Konstantynopolem. Jest to pierwsza kobieta turecka, która się wzniosła na aeroplanie.

☐ W Cannes lotnik Legagneux pobił rekord wysokości, wznosząc się do 6.100 metrów.

☐ Znany lotnik francuski Bleriot wynalazł przyrząd, przy którego pomocy aparaty wznosić się będą mogły odrazu z masztu stalowego i na nim lądować. Przyrząd ten ma duże znaczenie dla okrętów wojennych.

Łowiectwo.

☐ W Górnym Szpetalu w gub. płockiej, majątku p. Rutkowskiego, na polowaniu w 12 strzelb zabito 168 zajęcy, 3 kuropatwy i 1 bażanta. Królową polowania była panna Zofja Rutkowska.

☐ W Zrębicach pod Częstochową, majątku p. Stefana Stojowskiego na polowaniu w 10 strzelb zabito 269 zajęcy i 35 kuropatw.

☐ W Sierakówku u p. Michała Wodzińskiego na polowaniu w 10 strzelb przy fatalnej pogodzie zabito 164 zające, 16 kuropatw, 15 królików, 1 lisa i 1 bażanta-koguta.

☐ Odbyło się polowanie Kółka Myśliwskiego w Mieni w pow. mińsko-mazowieckim. W 16 strzelb zabito 199 zajęcy, 2 kozły, 3 bażanty i 1 lisa.

☐ Doroczne polowanie odbyło się u p. Władysława Makarczyka w Przatowie w 12 strzelb. Pomimo niesprzyjającej pogody zabito 174 zajęcy, 9 kuropatw, 4 cietrzewie i 1 jastrzębia.

☐ Wydział popierania hodowli psów rasowych, istniejący przy warszawskiem Tow. prawidłowego myśliwstwa, pragnąc przyjść z pomocą myśliwym, nietylko członkom Tow., którzy chcą zaopatrzyć się w dobre psy myśliwskie, rasowe — postanowił bezinteresownie pośredniczyć w tym kierunku. Wszyscy więc mogą zawiadomić kancelarję Tow. przy ul. Nowy-Świat 35 o swoich żądaniach, a Wydział wyszuka i wskaże im odpowiedni egzemplarz do nabycia.

„Tir aux pigeons".

☐ D. 25 b. m. nastąpi otwarcie Standu Warsz. Koła Sportowego przy ul. Czerniakowskiej, gdzie rozpocznie się sezon zimowy „Tir aux pigeons". Komisję strzelniczą stanowią pp. Maurycy hr. Zamoyski, przewodniczący, Stanisław Lilpop, zastępca, Michał Tabęcki, Henryk Zandbang, Józef Zarembski, Tadeusz Mostowski, gen. Ludwik Tarnowski, Włodzimierz ks. Czetwertyński i Seweryn Kotkowski.

☐ W d. 9 grudnia podczas kongresu „tir aux pigeonistów" w Monte-Carlo z okazji 50-lecia Standu tamtejszego, rozegrano wielką nagrodę jubileuszową. Wpisowe wynosiło 250 fr. Uczestniczyło w strzelaniu 83 strzelców. Zwyciężył p. Padovuni (25,000 fr.), drugim był p. F. Fadme (10,900 fr.), pp. Roberts i Osti podzielili się nagr. III i IV po 4,457 fr., p. Luzati wygrał 1,970 fr.

☐ Komisja strzelnicza ogłosiła, że na rozpocząć się mający około dnia 1 czerwca letni sezon „Tir aux pigeons" 1914 r. projektowane są między innemi: 1) nagroda im. prezesa Warsz. Koła Sportowego, Augusta hr. Potockiego 1.000 rb., oraz 2) nagroda sporstmenów. Komisja prosi o wczesne zapisy.

Szermierstwo.

☐ Austrjackie ministerstwo wyznań i oświaty zarządziło, aby słuchaczów kursu nauczycielskiego gimnastyki na uniwersytecie wiedeńskim kształcono także w nowoczesnej szermierce na szable i florety.

Kolarstwo.

☐ Inżynier francuski, Stefan Bunau-Varilla, skonstruował rower, który nazwał „Velo-Torpille", a którego wartość polega na opanowywaniu oporu powietrza, przez co zwiększa się szybkość maszyny przy najmniejszej równocześnie pracy jeźdźca. Próby dały świetne wyniki. Cyklista bowiem Berthet przejechal na nim 1 klm. w 1 m. 2,8 s., bijąc dotychczasowy rekord światowy o 8,4 s.

Sport pieszy.

☐ W Budapeszcie Lowass przebiegł w godzinę 16 klm. 867 m. 4 mile ang. w 21 m. 52.6 s., 10 klm. w 34 m. 22,2 s., 15 klm. w 52 m. 8,2 s., 10 mil ang. w 58 m. 11.8 s. Holehmainem, finlandzki zwyc. olimpijski, przebiegł 6436 m. w 20 m. 2 s., 8045 m. w 24 m. 33.4 s., 9654 m. w 30 m. 20,4 s., 11,263 m. w 35 m. 4,6 s., 12,872 m. w 40 m. 16 s., 16,619 m. (10 mil ang.) w 50 m. 40 sek. W Ameryce Robinson przebiegł 201 m. w 20,8 sek. W Anglji Applegarth 137 m. w 14,6 s. W Niemczech Mickler 1000 m. w 2 m. 32,4 s. W Ameryce Jones 1609 m. w 4 m. 14,4 s. W Finlandji Kotehmainen 8045 m. w 24 m. 29,2 s. We Francji Bauin 15 klm. w 47 m. 18 s., 17700 m. w 55 m. 54 s., 19,219 m. w 1 godzinę. We Włoszech Altimani 804 m. 2 m. 57.4 s., 13,254 m. w 1 godzinę. W Anglji Ross 34,100 m. w 3 godziny. W Niemczech Brockmann 100 klm. w 10 godzin 21 m. 46 s.

Ciężka atletyka.

☐ Na wielkim turnieju atletycznym szampionów w Paryżu zwycięstwo odniósł Władysław Cyganiewicz, brat słynnego siłacza, Stanisława Zbyszko-Cyganiewicza. Zwycięzcę po tym tryumfie ogłoszono „Szampionem szampionów".

Ceny warzyw.

☐ Komisja warzywna przy Tow. Ogr. w Warsz. komunikuje nam następne maksymalne ceny targu warzywnego w Warsz.: za pud brukwi k. 20, buraków k. 30, cebuli r. 1.35, chrzanu r. 3.60, czosnku r. 3, fasoli suchej r. 3.80, grochu łuskanego r. 2.80, kalarepy k. 35, kapusty białej k. 40, brukselki czyszczonej r. 4.50, kap. czerw. kopa r. 3 i kap. włosk. r. 3, marchwi pud k. 23. pietruszki korzeniowej krótkiej r. 1.80, pietr. korz. długiej k. 90, porów k. 90, rzepy k. 30, szpinaku r. 1.60, ziemniaków k. 45; kopa kalafiorów gat. II r. 7.50, gat. III r. 4.50, selerów—3.60. Tendencja średnia.

Treść zeszytu I-go.

J. Maciejowski — Wychowanie i nauka naszych panien.
J. W. Kosmowska — Twórczość chłopska.
Dr. Wacław Orłowski — Czasy Stanisławowskie.
Wacław Wolski — Cichego śniegu biała tajemnica.
Marjan Dienstl — Z powodu X Wystawy dorocznej w Warszawie.
H. Ordon — Bunt.
Zet — Pałace i dwory.

NA CZASIE:

Czy na Marsie jest śnieg? — Kronika. — Varia. — Notatnik.

LITERATURA:

Zuzanna Rabska — Odwiedziny poezji. Nowela.— Nowości wydawnicze. — Z czasopism.

SPORT i HODOWLA:

Stanisław Wotowski — Rzut oka na ubiegłe sezony wyścigowe.
Akademja szermiercza we Lwowie.
Kronika sportowa.

KILKADZIESIĄT ILUSTRACJI W TEKŚCIE.

Warunki prenumeraty dwutygodnika „WIEŚ i DWÓR“ łącznie z dodatkami „Sport i Hodowla“:

W Warszawie z odnoszeniem do domu:
rocznie rb. 10.— półrocznie rb. 5.— kwart. rb. 2.50

W Królestwie i Cesarstwie z przes. pocztową:
rocznie rb. 12.— półrocznie rb. 6.— kwart. rb. 3.—

Za granicą i za oceanem z przes. pocztową:
rocznie rb. 14.— półrocznie rb. 7.— kwart. rb. 3.50

Cena pojedyńczego zeszytu **60** kop., z przesyłką i na stacjach kolejowych **75** kop.

Prenumeratę na „Wieś i Dwór“ przyjmują urzędy pocztowe, wszystkie księgarnie, biura dzienników w kraju i zagranicą i Redakcja „Wsi i Dworu“, Marszałkowska 129, w Warszawie. Telefon 217-41.

CENY OGŁOSZEŃ:

Przed tekstem:		W tekście między działami:		Po tekście:	
1 strona	rb. 120	1 strona	rb. 150	1 strona	rb. 100
1/2 strony	„ 65	1/2 strony	„ 80	1/2 strony	„ 55
1/4 „	„ 35	1/4 „	„ 45	1/4 „	„ 30
1/8 „	„ 20	1/8 „	„ 25	1/8 „	„ 16
1/16 „	„ 10	1/16 „	„ 15	1/16 „	„ 8

Okładka zewnętrzna tylko w całości 200 rb. Ogłoszenia na specjalnych miejscach o 25% drożej.

Wszelką korespondencję zarówno zwykłą, jak rekomendowaną lub pieniężną należy adresować:
Redakcja „WIEŚ i DWÓR“ ul. Marszałkowska 129 w Warszawie.

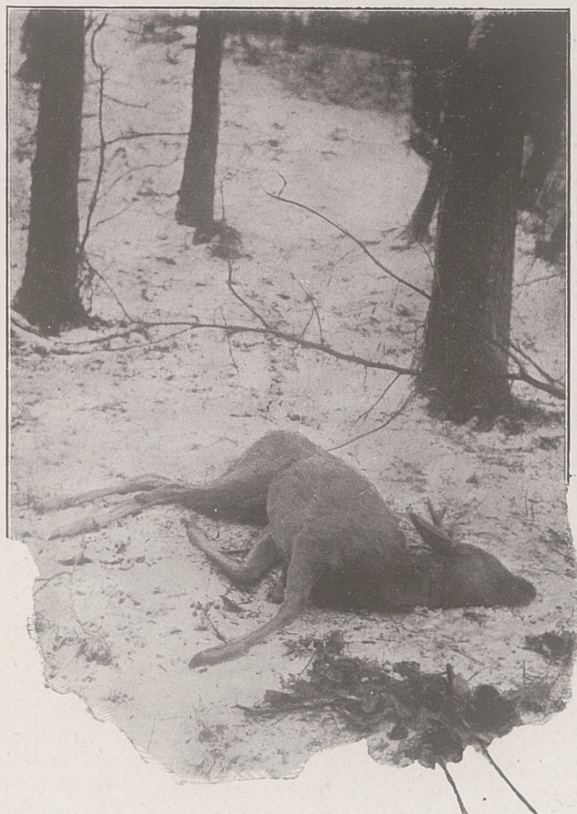
Redaktor: **Wacław Rogowicz.** Współredaktor: **Walenty Zieliński.**

Wydawcy: **Zakł. Graf. A. Hurkiewicz i S-ka.**

Zakł. Graf. A. HURKIEWICZ i S-ka. Warszawa, Marjensztadt 16.

ŁOWIECTWO I ŻYCIE LEŚNE.

Z Dawidgródka. Łoś w kniei. (Fot. Saryusz-Wolski).



Z tragedji życia leśnego. Po strzale...



Stado dzików. (Fot. am. p. Modzelewskiego).



Grupa szermierzy lwowskich i krakowskich. (Fot. J. M. Waydowicz we Lwowie).

Akademja szermiercza we Lwowie.

Patyną śniedzi powlekły się czasy, kiedy dworzyszcza nasze zdobne w rynsztunki rycerskie, liczne szable a karabele świadczyły o wysokim poziomie szlachetnego kunsztu szermierzy. Z biegiem lat wychodziły powoli z użycia i stare szerpentyny, karabele i wreszcie szpady francuskie, za czasów Augustowskich tak wielkiem cieszące się wzięciem. Równomiernie szła też w zapomnienie i sztuka władania bronią białą. Niewiele lepiej było i na Zachodzie. Zwrot w tym stanie rozpoczął się w ostatnich dwu dziesiątkach lat, kiedy to stanęły naprzeciw siebie dwie wyraźnie sprecyzowane i teoretycznie ujęte szkoły: włoska i francuska. Systemy te rozpowszechniły się szybko i liczą dziś wielu zwolenników. W ostatnich czasach przeważa system włoski, do czego przyczyniło się wielce wprowadzenie go, jako systemu oficjalnego, w większych armjach europejskich.

Podjęte zaś przez nasze stowarzyszenia sportowe próby rozbudzenia zainteresowania szerszego ogółu tym szlachetnym sportem, bardzo dodatnie wykazują wyniki. Dowodem tego akademja szermiercza, urządzona we Lwowie przez Oddział Szermierzy Sokoła Macierzy. Oddział, na czele którego stoi znany ogólnie wiceprezydent m. Lwowa p. dr. Leonard Stahe, jest najruchliwszem i przez skupienie świetnych sił, największem stowarzyszeniem szermierczem. Akademja odbyła się w pierwszej połowie grudnia w eleganckich salach Koła Literacko-Artystycznego, przy udziale Lwowskiego i Krakowskiego klubu szermierzy.

Na licznie zebranej widowni wybuchały co chwila burze oklasków pod adresem p. d-ra Stögbauera, dla pomysłowej i par excellence skończonej gry, i pp. W. Sobolewskiego i Vambery, dla błyskotliwej gry i błyskawicznego ataku pierwszego, a elegancji i precyzji drugiego. Dostały się też oklaski w udziale panu Kiełbasiewiczowi, graczowi w najlepszym stylu i pp. Poźniakowi, dr. Jakubskiemu i Mostowemu. Świetnego też przyjęcia doznali goście krakowscy, z których mistrz światowej sławy, Bąkowski i asystent jego Winkler, w efektownych starciach złożyli dowody wysokiej precyzji i maestrji. Z amatorów krakowskich wybitnie odznaczyli się pp. dr. Papèe, bar. Konopka i Hrebenda. Z lwowskiego klubu wzięli udział pp. Jakubowski, Odrzywolski i Żerański. Świetny był występ nauczyciela Oddziału Szermierzy Sokoła Macierzy, wojskowego fechtmistrza, p. Sedlaczka. Zresztą może Warszawa w krótkim czasie przekona się o sprawności bodaj niektórych z wyżej wspomnianych szermierzy na urządzanym w roku bieżącym turnieju *Wsi i Dworu.*

Zakł. Graf. A. Hurkiewicz i S-ka, Warszawa, Marjensztadt 16